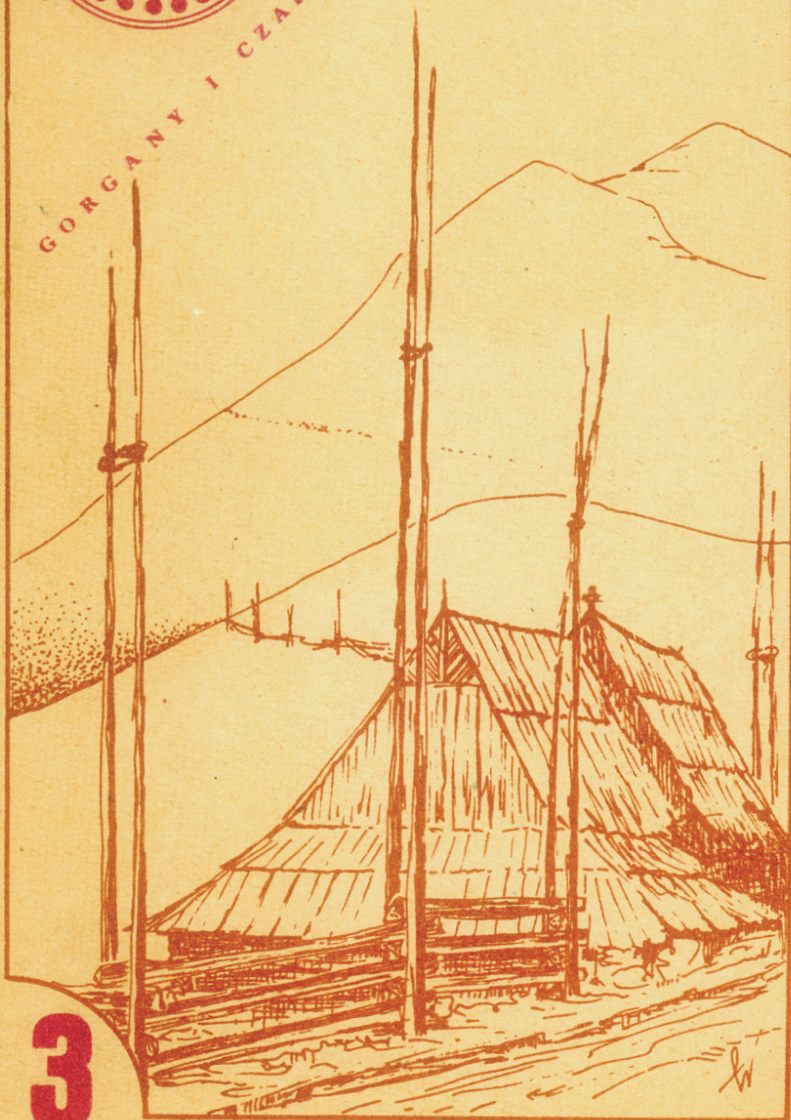




GORGANY I CZARNOHORA III



3

PEŁAJ

**ZESZYT
TURYSTYCZNO-
KRAJOZNAWCZY
Towarzystwa
Karpackiego
i Komisji
Wydawniczej
SKPB**

Plał to droga do wnętrza gór, do ich serca. Droga, którą od wieków kroczyły całe pokolenia ich mieszkańców zamykając w jej kształcie sumę swoich doświadczeń. Można na niej odnaleźć oprócz śladów kierpców i racic, także ślady podkutych butów pierwszych turystów, czy rzuconych tu przez kolejną wojnę żołnierzy. Droga, na której w sposób ukryty, czytelny tylko dla wtajemniczonych zapisana jest historia gór.

Chcemy, żeby także i nasz "Plał" stał się taką właśnie drogą wprowadzającą czytelnika w świat gór w przestrzeni i w czasie.



Opracowanie redakcyjne i graficzne:

ANDRZEJ WIELOCHA

Opracowanie kartograficzne:

PIOTR KAMIŃSKI – kartograf



Adres redakcji:

00-325 WARSZAWA 64

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 24

WARSZAWA 1990



zawartość zeszytu:

- Saga Czarnohory – Władysława Midowicza
- Przez Bałtagul na Hnatasię – Kazimierza Hempla
- Z wędrowki po Beskidach Wschodnich – Agnieszki i Jórka Montusiewiczów
- Sprawozdanie z wycieczki w Gorgany i Czarnohorę odbytej w sierpniu 1989 roku – Andrzeja Wielochy
- Świat opryszków w literaturze polskiego romanizmu – Teresy Franiek
- Nowe wschodniokarpackie arkusze wojskowej mapy Polski 1:100 000 – Henryka Gąsiorowskiego
- Przełęcz Legionów, Pantyrpass czy Rogodze Wielkie – Andrzeja Wielochy
- Informacja o powstaniu
"TOWARZYSTWA KARPACKIEGO".

Jako wkładka załączona jest mapa w skali 1:300 000 obejmująca Gorgany, Czarnohorę i Beskidy Huculskie.



Trzeci zeszyt "Plału" poświęcony jest w całości Gorganom i Czarnohorze.



© Copyright by:

Komisja Wydawnicza SKPB
i Towarzystwo Karpackie
Warszawa 1990

147 publikacja SKPB

ISBN 83-85141-03-0

Władysław Midowicz

Saga Czarnohory

“Gdy świeży liść okryje bór
i Czarnohora ściemnieje ...”

[J. Korzeniowski
“Karpaccy Górale”]

Wznosi się poszczerbionym wałem ponad źródłiskami Prutu i dopływami Czarnego Czeremoszu. Z jej zachodnich stoków wypływa Cisa, dążąc w głąb słonecznych Węgier.

Przez minione wieki niewiele działo się w tych górach oddzielających Huculszczyznę od Zakarpacia. Na ich niegdyś galicyjskim przedpolu zwanym Beskidem Huculskim i Połoninami Hryniawskimi kołędnicy zachodzili daleko w unickie świętki Bożego Narodzenia, później święcono wodę w przerębłach (święto Jordanu), a z wiosną watahowie wyruszali ze stadami na wysokie połoniny. Jeżdżono na okoliczne jarmarki, także do Kut i Kosowa, a nawet do odległej Kołomyi, o której śpiewano “Kołomyja ne pomyja, Kołomyja misto...” i skąd urobiła się nazwa tak lubianych na Huculszczyźnie kołomyjek:

*Tam szum Prutu, Czeremoszu
Hucułom przygrywa,
a ochocza kołomyjka
do tańca porywa.*

Starzy ludzie wspominali zbója Dowbosza i chyba z owych czasów pozostały po prababkach piękne naszyjniki z wielkich koralu, wyjmowane z kowanych skrzyń w uroczyste święta i wesela.

Z biegiem lat pozanikały sezonowe karawany ormiańskie z Kut i szlacheckie z Podkarpacia, dążące do źródeł mineralnych w utopionym wśród lasów Burkucie. Wszędzie handlowali czym się dało Żydzi, a jak rodziniki rozsiane z rzadka w cieście, żyli tam Polacy, głównie jako leśniczowie Fundacji Skarbkowskiej, inżynierowie budujący linie kolejowe, mosty i drogi, a także nieliczni poczmistrze i aptekarze.

W latach siedemdziesiątych minionego wieku, gdy powstało Towarzystwo Tatrzańskie z siedzibą w Krakowie, pierwszy odzew dały miasta Stanisławów i Kołomyja, tworząc miejscowe oddziały. Oddział w Kołomyi, który przyjął nazwę “Czarnohorski”, wytyczył pierwszy znakowany szlak turystyczny w kraju, wiodący z Żabiego, przez Krasny Łuh i Kostrzycę, na Howerłę. Znakami były drewniane strzałki pomalowane na czerwono, których większość znikła w niecały rok. Wtedy uparci kołomyjanie przeznakowali cały szlak paskami czerwonej farby; dopiero po kilku latach (w 1887 r.), zaczął ich sposobem malować ścieżki w Tatrach Wydział Towarzystwa Tatrzańskiego.

Oddział Czarnohorski T.T. był wielce czynną instytucją, której przez 27 lat przewodniczył Konstanty Siwicki. Jeden z jego działaczy, Henryk Hoffbauer, napisał i wydał pierwszy przewodnik po Czarnohorze i jej otoczeniu, a także znakował dalsze szlaki. Organizowano wystawy rzeźbiarzy i garncarzy z Huculszczyzny, zajęto się uszlachetnieniem rasy koników huculskich i nawet, rzecz rzadka na owe czasy, rozpoczęto wydawanie rocznika “Turysta”.

Zbliżały się pierwsze pomruki wojny światowej. Carska Rosja chciała się przedrzeć przez Karpaty i odciąć Węgry i Dalmację od Austrii. Już po pierwszych starciach duża honwedzka grupa osłonowa Kóvetsa zaczęła wycofywać się z Podola ku Bukowinie i Karpatom Marmaroskim. Odcinka od Przełęczy Przystopieckiej nad Bukowiną po Gorgany, a więc i Czarnohory, bronił gen. Pflanzer–Baltin, mając do dyspozycji zaledwie 2 bataliony piechoty, 4 baterie artylerii górskiej i kilka spieszonych szwadronów kawalerii, oraz II Brygadę Legionów. Były to 2–gi i 3–ci

Pułk Piechoty Legionów, które wraz z dyonem artylerii górskiej oraz szwadronem kawalerii przepędziły jednostki kozackie wdzierające się na węgierskie zaplecze (komitat marmaroski), po czym przeszły do Małopolski drogą zbudowaną pośpiesznie przez Przełęcz Legionów (Pantyr),¹ odbijając Rafajłową i Zieloną. Część pod dowództwem kapitana Hallera, pozostała w tych miejscowościach a większość dowodzona przez generała Trzaskę-Durskiego przeszła górami do Żabiego, stacząc w okolicy kilka bitew z Rosjanami i odciążając front czarnohorski. W dalszym ciągu walk oczyszczono część Bukowiny i posunięto się aż ku Dniestrowi. Z początkiem marca obie grupy legionowe, po stoczeniu ponad 60 bitew i potyczek, spotkały się w Kołomyi.

Górujący łańcuch czarnohorski stanowił zawiasy karpackiego frontu. Wiodły nań, z węgierskiego Bogdanu i Ruskiej Polany, zmontowane pośpiesznie wojskowe wyciągi linowe, którymi podciągano do umocnień grzbietowych zaopatrzenie. Poprzeczne umocnienia wiodły także od zwornika Stajek w głównym grzbiecie, w dolinę Czeremosza, skąd ku wschodowi na Połoniny Hryniawskie, uniemożliwiając przedarcie się nieprzyjaciela doliną tej rzeki do nędznej drogi kołowej wiodącej z Ruskiej Polany przez przełęcz Kopilasza. Drogę, którą wspomagające jednostki niemieckie przebudowywały pośpiesznie i przedłużyły przez przełęcz Watonarkę do doliny Białego Czeremosza, zwąc ją później Wojenną Drogą Mackenzena.

Carskie wojska armii Brusilowa posuwały się w 1914 roku dość szybko przez Małopolskę, atakując równocześnie przejścia karpackie, wymacując punkty najmniejszego oporu. Na czarnohorskim odcinku próby te doznały zdecydowanego zahamowania i Rosjanie ponosili duże straty. Roje piechoty atakujące stromymi ponadleśnymi stokami były koszone ogniem ciężkich karabinów maszynowych z umocnionych schronów przygrzbietowych i zwornikowych. Żołnierz rosyjski zalegał na stokach długimi godzinami, budując osłony z głazów i zazwyczaj ciężko odmrażając nogi w coraz niższej temperaturze stycznia i lutego 1915 roku. Udane początkowo ataki dolinami Pohorylca i Dzembronii na stoki głównego grzbietu oraz pod ujście potoku Szybeny odrzucono po zjadłych walkach z dużymi stratami. Na

¹Patrz artykuł *Przełęcz Legionów...*, str. 104

rozległych zboczach Pop Iwana, jak i gdzie indziej, pozostały po nich maleńkie cmentarzyki wśród skałek i rozsiane setki łusek z wystrzelonej przez rosyjskie “pulemioty” amunicji. Podobnie udaremniono próbę przedarcia się od zachodu ku Jasini, co groziło oskrzydleniem Czarnohory.

Wreszcie austriacko–niemiecka ofensywa spod Gorlic zwinęła cały front, odrzucając armię Brusilowa aż pod dawną granicę na Zbruczu. Straty po obu stronach były ogromne, dochodząc łącznie do 3 milionów ludzi. Odcinek czarnohorski czuwał pod bronią do września 1915 roku, po czym opuszczono go, pozostawiając jednostki wartownicze w niektórych punktach. Obsadzono znowu te góry w sierpniu 1916 roku, gdy ruszyła powtórna ofensywa Brusilowa i Leczyckiego, która jednak utknęła w zaciętych walkach na Połoninach Hryniawskich i w Gorganach, a latem 1917 roku została zawrócona z powrotem na wschód.

Od lata 1917 roku Czarnohorę zaległa cisza. Wojna domowa polsko–ukraińska ominęła ją w zupełności, jak i wojna polsko–radziecka zakończona w 1920 roku i tylko pociąg pancerny “Gromobój” patrolował przez jakiś czas dolinę Prutu od Delatyna po Przełęcz Woroniecką.

II Rzeczpospolita obsadziła swą dawną granicę wschodnio-karpacką aż po masyw Hnatasi na pograniczu rumuńskiej już Bukowiny oraz po Białe Czeremosz. Odbudowano osiedla zniszczone przez wojnę górską, a w 1925 roku otwarto większe schronisko PTT na Zaroślaku pod Howerlą, bo stare i nieduże spaliło się podczas wojny światowej. Odnowiono dawne znakowane szlaki, a konwencja turystyczna z Czechosłowacją umożliwiła przechodzenie przez Czarnohorę na Ruś Zakarpacką. W obszarze źródłiskowym Prutu ponownie działała stacja botaniczna na Pożyżewskiej, a niesławnej pamięci “Oleartę”, fabryczkę olejku niszcząca ogromne połacie kosodrzewiny, zniosła żywiołowa powódź w roku 1924.

U początku lat trzydziestych warszawski AZS ukończył budowę niedużego schroniska pod przełęczą między Smotrcem i zwornikiem 1815 m w głównej grani. Doliną potoku Pohorylec na jucnych konikach huculskich wynoszono do schroniska żywność i opał. Gospodarzem w tym nieco egzotycznym miejscu był Ludwik Ziemblic z Zachodniej Małopolski, który sypiał tam w mroźne zimy pod wielką baranicą, a kuchnię prowadziła przys-



↑ Schronisko pod Smotrcem
Sekcji Narciarskiej AZS W-wa, 1742 m npm
Fot. Henryk Treberit (1938 r.)



← Schronisko na Maryszeskiej
Karpackiego Towarzystwa Narciarzy
(1939 r.)



Wornia. Fot. Juliusz Marszałek (1989 r.)

tojna Wasylina. Schronisko to nie było łatwym w prowadzeniu, bo od najbliższego lekarza dzieliło je prawie 50 kilometrów, a od stacji kolejowej (Kołomyja) kilometrów 120. Dochodziło się do niego z Foreszczenki, gdzie docierała ciuchcia leśna z Worochty, wielogodzinnym trawersem wzdłuż górnej granicy lasu popod szczyty Maryszeskiej, Brebieneskuła i Munczela, albo też główną granią Czarnohory, na której miejscami sterczały jeszcze dawne zasieki wojenne, a tu i ówdzie powalone resztki krzyży na zapadłych żołnierskich mogiłkach.

I tak przemijały lata międzywojenne. Grzbietami Czarnohory przewalały się wiatry i zamiecie, a do urwistych kotłów spadały zimą lawiny. Dokoła wznosiły się góry Zakarpacia i Rumunii, a ku północy falowała główna grań karpacka zamknięta u widnokręgu wyniosłym stożkiem Howerli.

W roku 1935 pojawiła się na szczycie Popa Iwana (zwanym niegdyś Czarną Horą) większa grupa ludzi, z których jeden wskazując wyniosłość szczytową, oświadczył: "Tu stanie obserwatorium!". Był to generał Leon Berbecki, przewodniczący Ligi Obrony Powietrznej Państwa, któremu astronomowie warszawscy zdołali wmówić, że rozwój astronawigacji zadecyduje w przyszłości o wynikach wojny.

Budowano to kosztowne obserwatorium przez trzy lata, wydając okrągły milion przedwojennych złotych na pięciopoziomowy budynek wraz z wyposażeniem. Zelektryfikowany w całości, schodził dolnymi kondygnacjami pod ziemię i był podejrzewany przez Huculów, jak i niektórych turystów o różne tajemnicze cele i zadania. Co kilka godzin obserwatorium porozumiewało się własnym radiotelefonem z drugą stacją w Stanisławowie, nadając zakodowane depesze meteorologiczne i inne. Kilkunastu ludzi załogi, w tym 3 kobiety i pięcioletni Jacek, syn autora artykułu, żyło na wysokości ponad 2 tysiące metrów. Większość z nich pracowała także nocą, gdy w chmurach i naremnym wiatrach zapalał się na tarasie obserwacyjnym silny reflektor, by ułatwić powracającym patrolom dojście do budynku. Natomiast w słonecznej pogodzie chętnie drzemało się po obiedzie na szerokich parapetach potrójnych okien, szczególnie po nocnej pracy.

Z przeszklonej sali instrumentalnej na górnym piętrze rozpościerał się chyba najpiękniejszy widok w całym kraju. Od Marmaroszy i Rodny, przez zalane słoneczną mżawą nize Buko-

winy, Beskid Huculski i szczyty Czarnohory, ku pasmom górskim Rusi Zakarpackiej z tajemniczym Dumeniem na czele. Ocecił to wszystko słynny zdobywca narciarski Karpat Wschodnich, siwiejący profesor fizyki, Zygmunt Klemensiewicz, który przybywszy do obserwatorium w styczniu 1939 roku, oprowadzony po jego urządzeniach, oświadczył z niejakim westchnieniem: “Wierzyć się nie chce, patrząc na ten ”pałac na Czarnohorze“ drwiący sobie z każdej niepogody, że w latach młodości marzliśmy w burzach śniegowych na tym niemal alpejskim wygwizdowie jak przysłowiowe psy.”

Druga wojna światowa doszła Czarnohory bezgłośnie. Znikło z obiektu paru pracowników powołanych imiennie, a w korytarzach i radiostacji zapaliły się niebieskie żarówki. Przez cały czas nie pojawił się nad tymi górami ani jeden samolot – swój czy obcy. W trzeciej dekadzie września kierownik obserwatorium [*autor artykułu – przyp. red.*] ewakuował specjalny sprzęt i asystentów na węgierską stronę, niszcząc tylko radiotelefon (istniała już linia napowietrzna do Żabiego) i zabierając na jucznych koniach kilka walizek oraz wyniki badań naukowych. Mały Jacek szedł w deszczu za końmi, niosąc ukochanego misia.

Po kilku godzinach w klauzie Balzatuł u południowego podnóża Czarnohory Węgrzy powitali ich jak braci. Następnego rana kierownik wręczył klucze od obserwatorium powracającemu Czarnemu Jurze i pożegnał go serdecznie mówiąc: “Wyplacisz tam na górze Hucułów od koni workami cukru, a resztę zapasów zimowych zabierzesz sobie. Daję ci upoważnienie na piśmie do zastrzelenia każdego, kto by usiłował rabować czy podpalać obserwatorium przed nadejściem radzieckiej jednostki okupacyjnej. Wywieszisz na wieży czerwoną flagę, aby rezuny z Żabiego zdawały sobie sprawę, z kim w razie czego będą miały później do czynienia”.

Na Czarnohorę opuściła się długa noc wojenna. W kilkanaście lat później obserwatorium, widocznie już niepotrzebne, zostało w całości opróżnione z wyposażenia i opuszczone. Pozostały mury i wieża, bez dachów miedzianych, strasząc czeluściami okien. Górne biegi Czeremoszów zalega pustka. Może pilnują jej tysiące poległych w pierwszej wojnie. Saga Czarnohory wydaje się trwać dalej.

Kazimierz Hempel

Przez Bałtaguł na Hnatasie¹

Latem 1934 roku wyruszyłem z Ojcem Stanisławem oraz trójką przyjaciół na siedmiodniową wycieczkę ze schroniska PTT “Zaroślak”, położonego pod Howerlą, do najdalego na południowym wschodzie zakątka Rzeczypospolitej, do źródeł Czereмосзу i szczytu Hnatasia. Cały prowiant niósł konik huculski prowadzony przez sympatycznego Hucula o imieniu Dmytro.

Już podczas pierwszego zetknięcia z Karpatami Wschodnimi w 1931 roku powstał niejasny projekt tej wycieczki. Wyszedszy wtedy na Howerłę, najwyższy, wznoszący się na 2057 m, szczyt Karpat Wschodnich, byłem oszołomiony ogromem przestrzeni widocznej, a przede wszystkim niezliczoną ilością szczytów, pasm górskich i dolin. W porównaniu z nimi jakże małe wydały się teraz Beskidy [*Zachodnie – przyp. red.*]. Urok potęgowała zupełna nieznajomość terenu.

Paru siedzących obok lwowskich studentów objaśniało egzotyczne nazwy szczytów. Szczególnie pociągająco wyglądał jakiś ogromny masyw górski daleko na południu górujący ponad całą Rusią Zakarpacką. Mimo przymglenia widać było jakby jakieś olbrzymie żebra skalne czy granie rozchodzące się ku północy.

–*To Pop Iwan Marmaroski na granicy Czechosłowacji i Rumunii* – objaśniali lwowiaczy.

Imponujący kształt góry i jej egzotyczna nazwa utknęły mi w pamięci i nie dawały spokoju. W Spółdzielni Inwalidzkiej

¹Trasę wycieczki przedstawiono na mapie zamieszczonej na ss.60-61

w Warszawie można było kupić mapy szczegółowe tak zwane “sztabówki” całego obszaru Polski i krajów przyległych. Nabyłem więc komplet austriackich map 1:75 000 obejmujących Czarnohorę, Góry Czywczyńskie i Ruś Zakarpacką (w Czechosłowacji). Dostałem nieco niezbyt jasnych informacji o szlaku na Hnatasię.

Minęły trzy lata.

Ze schroniska na Zaroślaku wychodzimy w szarzejącej ciemności przedświt. Schodzimy na drożynę prowadzącą przez wspaniały bór pokrywający północne zbocza Breskułu i Pożyżewskiej, aby dotrzeć do Stacji Botanicznej na Połoninie Pożyżewskiej (ok. 1500 m), należącej do Akademii Rolniczej w Dublanach. Gospodarzy tam Dr Kozij, znawca traw górskich i pionier ich racjonalnej uprawy na pastwiskach. Mieszka tam trójka naszych przyjaciół – Wanda, Majka i Stasiak – z którymi mamy iść. Las w mroku jeszcze milczy, między konarami brodatymi od porostów kryje się resztką nocy. Kryształowe zimne powietrze zachęca do marszu. Miejscami droga idzie pod skałami bogato porośniętymi różnym drobiazgiem roślinnym. Nic nie mąci dostojnej ciszy.

Las przerzedza się wreszcie i niżej drogi prześwieca wśród drzew drewniany domek Stacji. Teraz już w piątkę ruszamy drogą wśród połonin. Trawiastym kotłem zaczynamy parusetmetrowe podejście na przełęcz między szczytami Pożyżewskiej i Breskuła, aby przejść na południowe stoki Czarnohory. Pierwsze promienie wschodzącego słońca doganiają nas w marszu i świat staje się nagle uroczy. Łąki zaczynają grać barwami kwiatów, przeróżnych traw i porostów. Część zboczy jest ogrodzona płotkami przed wypasem. To poletka doświadczalne Dr Kozija. Bajecznie barwny dywan kończy się w górze mocnym, niebieskim kolorem nieba.

Przypomina mi się taki sam poranek sprzed 3 lat. Szedłem wtedy sam na spotkanie z lwowiakami poznanymi na Howerli, a mianowicie na godz. 5 rano na szczyt Pożyżewskiej. Obie strony okazały się punktualne na tę niecodzienną randkę. Pamiętam jak przyjemna była dla mnie chwila, gdy na grani na tle nieba ujrzałem dwie sylwetki zbliżające się do umówionego szczytu. Ale wróćmy do roku 1934.

Koniec podejścia i przełęcz. Wzrok dotychczas oparty o tra-

wnik tuż przed sobą, wypatrujący piękno maleńkich roślinek wysokogórskich nagle traci oparcie i tonie w nieskończonej przestrzeni. Przed nami cała Ruś Podkarpacka, w prawo i w lewo łańcuch szczytów Czarnohory sięgający 2000 m. A na samym horyzoncie w zamglonym powietrzu On we własnej osobie – “nasz” Pop Iwan Marmaroski.

Ale droga do niego daleka, bo dziś idziemy południową stroną grzbietu Czarnohory na zachód aż do doliny Cisy. Wspaniała widokowo trasa. Wygodna droga idzie poziomo na przeciętnej wysokości ok. 1500 m z zupełnie otwartym widokiem na południe. Droga, jak wiele innych w tych górach, to pozostałość Wojny Światowej. W latach 1914–15 całe Karpaty Wschodnie były widownią ciężkich walk. Rosjanie przeszli tędy na Węgry, a potem byli znów wypierani z powrotem do Galicji. Obie strony budowały drogi dla dowozu zaopatrzenia na linię bojową. W ten sposób Gorgany i Czarnohora uzyskały jedyną w swoim rodzaju sieć drogową. Drogi jezdne wspinają się na najbardziej nieprawdopodobne miejsca. W terenie wysokogórskim nierzadko są kute w skale. Przez młaki leśne zbudowano osobliwe drogi z okrągłaków drzewnych położonych na belach wspartych z kolei wysoko nad ziemią na palach. Idzie się jak po moście. Po dwudziestu paru latach przegniłe okrągłaki często zapadają się pod stopą ludzką lub uginają się jak klawisze. Urozmaica to wędrówkę.

Z naszej drogi graniowej mamy coraz to nowe widoki. U stóp naszych olbrzymie łąki górskie. Jak z samolotu widać maleńkie postacie olbrzymich byków. Dalej znów staje pasterskie – zbiorowisko szop i płotków drewnianych. Naokoło ciemnozielona plama liści szczawiu pleniących się na przenawożonym terenie – istna plaga pastwisk. Ciszę przerywa, ale jej nie zakłóca, dźwięk trembity. W oddali niewidoczny pasterz daje hasło do zejścia stad. Głęboki, przeciągły dźwięk trembity, rozchodzi się łagodnie. Melodia dziwnie pasuje do łagodnych kształtów i dalekiej przestrzeni Karpat Wschodnich tak, jak ostra muzyka podhalańska do ostrych turni Tatr.

Gdzie indziej znów inna scena. Wśród połonin niteczka drogi – na niej karawana paru koników objuczonych besagami i berbenyciami. Na koniku Hucul w kozuchu, spod którego wystają białe rękawy koszuli. Obok bajecznie czerwona plamka

odbija od zieleni – to spódnicza Huculki. Dawny świat żyje tu bez zmian.

Omijamy dołem szczyt Howerli, u stóp której lśni parę miniaturowych stawków. Mijamy też niewiele niższego (2020 m) spiczastego Pietrosa, na którego szczycie znajduje się niewidoczny dla niepowołanych – wirujący zamek diabelski. Diabeł usiłował tam zwabić samego Dobosza. W zamku tym odbywają karę źli królowie i księżęta, tańcząc przez całą wieczność w takt czarnej muzyki.²

Długie południowe ramię Pietrosa zmusza do dalekiego obejścia wciąż tą samą drogą. Po minięciu zakrętu widzimy całą dalszą drogę aż do przełęczy w grzbiecie głównym, skąd już zejdziemy w dolinę Cisy. I oto ze Staśkiem postanawiamy iść dalej z zamkniętymi oczami parę kilometrów, aż do przełęczy. Majka podejmuje się nas prowadzić za rękę. I zaczyna się zabawa. Początkowo potykamy się często o liczne kamienie. Stopniowo nabieramy wprawy unosząc stopy wysoko. Mijają kilometry. Zupełnie nie zdajemy sobie sprawy, gdzie jesteśmy. Jakaś mijająca nas wycieczka ze zdumieniem patrzy na dwóch ślepców, idących przez góry. Jednostajne wznoszenie się drogi nie pozwalała się zorientować, jak daleko do tej przełęczy.

–*Już!*– woła Majka.

Nagle otwartymi oczyma widzę nowy urzekający widok. Dolina Cisy. Zamiast połonin i kosówki – stoki gęsto porośnięte lasami liściastymi. Zaokrąglone korony drzew nadają łagodny charakter stokom. Stada baranków w dole i łagodne światło zachodzącego słońca dopełniają całości idyllicznego obrazu ze starego sztychu.

Przez stromy skalisty stok prowadzi droga kuta w skale. Niebawem dochodzimy do czeskiego schroniska, którego wygląd zewnętrzny razi przyzwyczajenia estetyczne polskiego turysty. Równo obciosany kwadratowy piętrowy budynek bez smaku. Wewnątrz jadalnia piękna, z rogami na ścianach. Natomiast w sypialni dziwne zjawisko: płyty świeżego tynku odchodzą od ściany wysadzone przez zielone pędy kielkujących ziaren. Rano o świcie spostrzegam na schodach dziwnego ptaka bez głowy i na jednej nodze. Dowiaduję się, że jest to młody orzeł znalazio-

²Stanisław Vincenz, *Na wysokiej Poloninie*.

ny na stokach Świdowca. Zamierzają go wypuścić gdy dorośnie. Śpiąc chowa on głowę w nastroszone pióra karku, a jedną nogę podkurcza i chowa. Po przebudzeniu króla ptaków podziwiam jego wspaniałą profil, naprawdę “orli”. Linia dzioba i układ ciemnych piór nad oczami tworzą harmonijną choć dziką i surową całość. Siadam ze szkicownikiem i rysuję ołówkiem jego głowę [*wszystkie rysunki z wędrówki splonęły w Powstaniu Warszawskim – przyp. red.*].

Lekko schodzimy wygodną drogą wśród mieszanych lasów. Po drodze napotykamy typowy wschodniokarpacki szałas okrągły. Od bardzo niskiej, naokoło biegnącej ściany wznoszą się koncentrycznie i dachówkowato ułożone deski spotykając się wokół małego otworu służącego do wypuszczania dymu z ogniska. Nad tym otworem mały daszek od deszczu niczym sygnaturka.

Po drodze mijamy pyszne bukowe lasy aż wreszcie lądujemy wśród kwiecistych łąk we wsi Kwasy. Nazwa pochodzi od źródeł mineralnych. Rychło poznajemy smak tutejszych wód w żydowskiej gospodzie, gdzie dostajemy dobry obiad i zapijamy wodą mineralną przyniesioną ze źródła. Karczmarza ostrzega przed nadużyciem tej wody, ponoć silnie działającej na żołądek.

Ruszamy pociągiem na południe z zamiarem zanocowania u stóp długiej grani zachodniej Pop Iwana Marmaroskiego. Po dojechaniu i zejściu na peron dowiadujemy się z przerażeniem, że tu ani schroniska, ani zajazdu, ani żadnego noclegu nie ma! Więc siadać z powrotem! A pociąg już rusza, czeski konduktor zgorszony wsiadaniem w biegu krzyczy, zawiadowca stacji krzyczy, pasażerowie zdziwieni wychylają głowy przez okna, ale my już szczęśliwie jedziemy.

Wysiadamy na stacji Trebuszany. Pytamy o nocleg. Czesi informują nas, że jest schronisko KČST³ równocześnie ciągnie nas dosłownie za rękę stara Żydówka – właścicielka zajazdu. My twardo idziemy do schroniska. Na miejscu jednak okazuje się bardzo ciasne i nie można nic dostać do jedzenia. Więc z powrotem do zajazdu. Żydówka wita nas serdecznie ze łzami w oczach, wprowadza do ogromnych rozmiarów komnaty, w której stoją olbrzymie łoża, nakryte równie olbrzymimi pierzynami i poduchami. Na kolację dostajemy gęś pieczoną i wreszcie zasy-

³Klub Československých Turystow

piamy syci komfortu.

Po równie pysznym śniadaniu ruszamy wreszcie do naszego celu. Między olbrzymimi odnogami Popa Iwana płynie potok Bela żłobiąc przeszło 10–kilometrową głęboką dolinę – chcemy nią dotrzeć aż pod szczyt i nocować w schronisku KČST, gdzieś pod szczytem. Idziemy wzdłuż potoku podziwiając bogatą roślinność, wyraźnie odbijającą się od tego, co się widzi na północnej stronie Karpat. Tam świerk, dużo cienia, przyjemny chłód, tu – drzewa liściaste, kwiaty i słońce, słońce gorące. Roje pięknych motyli.

Na polanie spotykamy oryginalne dzieło staroświeckiej sztuki ciesielskiej – kilkusetmetrowy akwedukt drewniany, doprowadzający wodę do obracania koła wodnego poruszającego tartak. Koryto z desek w miarę spadku doliny dźwiga się coraz wyżej nad ziemię na drewnianej konstrukcji, aby zakończyć się na wysokości dachu tartaku. Wielka budowla w tym dzikim pustkowiu wygląda niesamowicie.

Dalej na stromych stokach nowy objaw techniki prymitywnej – drewniane koryta z mocnych bel biegnące wprost w dół, najstromiej jak można. Korytami tymi spuszcza się zimą ścięte drzewa. Tam gdzie pochylenie jest małe – polewa się koryta wodą i tworzy się lodowa rynna.

W pewnym miejscu, niespodziewanie na środku doliny wyraźta stumetrowa skalista góra opadająca ku nam pionową ścianą. Na ścianie tej krzewi się cały ogród botaniczny – kwiaty, krzaki, drzewa – wszystko ledwo się trzyma, ale rośnie.

Dolina zwęża się, wszędzie już panuje las świerkowy. Zaczynamy podejście na szczyt bardzo stromym stokiem leśnym – ledwo widoczną percią. Obok nas strzelają w górę kilkudziesięciometrowe prościutkie pnie świerków. Stojąc wysoko nad nimi możemy ocenić ogromną ich wysokość. Gdy już pokonaliśmy najbardziej męczącą stromiznę, zaczynają się urocze polanki. Na jednej z nich dogania nas młody człowiek, ubrany po pastersku, ale bardzo schludnie. Grzecznie się wita i objaśnia, iż posiada szałas pasterski pod szczytem Popa Iwana, gdzie nocują turyści. W to nam graj! Idziemy więc już razem dowiadując się szczegółów o naszym gospodarzu. Jest nauczycielem szkoły powszechnej z językiem ukraińskim. Nazywa się Iwan Rozniczuk. Pokazuje fotografię z uroczystości szkolnej – na ścianie

skrzyżowane chorągiewki: czechosłowacka (państwowa) i ukraińska (narodowa). Jest to jeden z objawów ograniczonej zresztą autonomii, jaką posiada Ruś Zakarpacka.

Po drodze Iwan wprowadza nas do okrągłego szałas pasterski. Na środku pod otworem w dachu niewielkie obmurowane podwyższenie. Pali się na nim ognisko, nad którym wisi kocioł. Naokoło, również na wzniesieniu, leże. Siedzi na nich cała pasterska rodzina. Dorośli w łachmanach, dzieci półnagie. Wśród starszych jeden umysłowo chory. Zaduch i bród.

Z ulgą wychodzimy i wspinamy się wyżej i wyżej. Wreszcie karłowaty las się kończy i wychodzimy na ogromną połoninę podszczytową. Nad nią wznosi się stromy, trawiasty szczyt parusetmetrowym stożkiem. Na północ grań Popa Iwana Marmaroskiego (1940 m) łączy się ze stromym szczytem Pietrosza (1784 m). W niecce między nimi tuż poniżej grani – niski podłużny szałas. Gospodarz prezentuje nam skromną, drewnianą tabliczkę z napisem “Hotel Blecha (1500 m)”. Pytamy o znaczenie. A no, blecha po czesku znaczy pchła. W szałasie jest dużo pcheł. Masz tobie!

Ale miejsce jest tak urocze, że nic nas nie odstraszy. Proszę sobie wyobrazić kwiecistą łączkę, parę prostych stolików i ław, niedaleko źródło i budynek “hotelu” z nieociosanych bierwion. I rzecz najważniejsza – widok olbrzymi.

Paru turystów nie mąci nastroju. Wieczorem zasiadamy w szałasie przy ognisku rzucającym piękne światło na ściany. Gospodarz wyciąga skrzypce i gra piękny hymn słowacki. Na ścianie drewnianej wyryty ukraiński tryzub.⁴ Któż to rzeźbił? Gospodarz mówi tajemniczo:

– *Różni ludzie tu przychodzą i wycinają na ścianach.*

Ale urok muzyki skrzypiec i urok miejsca rozmarza nas i przegania myśli o polityce. Kładziemy się spać pod ścianami na sianie, na podwyższeniu. Ognisko grzeje w nogi, ale stopniowo przygasa. Światło ogniska staje się ciemno czerwone. Przez otwór w dachu migocą gwiazdy.

Przed zaśnięciem trochę prozy. Pchły zaczynają działać. Zgodnie z instrukcją gospodarza – złapane rzucamy w ognisko. Rozlega się suchy trzask – pchła pęka. Pozostali goście

⁴Godło niepodległego państwa ukraińskiego

czynią podobnie i tak wśród huku pękających pcheł usypiamy w czerwonym półmroku.

Budzimy się przed świtem. W ciemnym szalasie świecą jeszcze resztki ogniska. Przez otwór w dachu nieskazitelnie niebieskie niebo nabiera barwy. Wtem coś błyska tam w górze! Widzę bardzo wysoko krążącego orła. Przy obrocie pióra jego skrzydeł chwilami odbijają promienie wschodzącego słońca, a wtedy ptak pali się srebrem. Rano jeszcze lepiej oceniamy walory widokowe łączki koło Hotelu "Blecha". W słońcu wzrok sięga daleko na południowy zachód, gdzieś w stronę Węgier. W oddali odcina się sylwetka jakiejś góry o szczycie płaskim jak stół.

Ruszamy pierwszy raz bez żadnego obciążenia na szczyt Popa Iwana Marmaroskiego. Przed nami 400 m różnicy wysokości. Następnie zamierzamy zwiedzić skalistą grań sąsiedniego Żerbanu (1795 m), wyglądającą dość interesująco. Gdy wychodzimy na północną grań Popa Iwana, nagle widzimy pod stopami urwistą ścianę skalną i głęboki kocioł obramowany tą granią oraz samym szczytem. Posuwamy się stromo w górę mając po prawej stronie łąki gęsto przetykane krzakami rododendronów a po lewej urwisko. Za zakrętem grani w lewo wychodzimy pod trianguł szczytowy.

Pierwsze wrażenie to lekkość. Dzięki wielkiej różnicy wysokości względnej ponad dolinami, wszędzie naokoło głęboko pod nami powietrze. Pełna panoramiczność widoku i brak bardzo wysokich gór w pobliżu pozwala dojrzeć dziesiątki szczytów. Na północy góry graniczne z Polską, na zachód niższe pasma schodzące ku Węgrom, na południowy zachód brama doliny Cisy, na południe mnóstwo pasm w Rumunii. Ale najciekawsze są dwie góry wznoszące się nagle z płaskowyżu. Jedna, to stromy stożek skalisty Farcaul (1961 m), a obok zaraz oryginalny grzebień skalny składający się z szeregu turni stopniowo i równomiernie malejących ku wschodowi. Od północy turnie te tworzą skalną ścianę. To Mihailecul (1926 m).

W wiele lat potem dowiedziałem się, że na oba te szczyty pierwsi weszli na nartach w roku 1911 bracia Smoluchowscy, Marian – światowej sławy fizyk i Tadeusz – pionier narciarstwa (sprowadził narty do Polski w 1894 r.).

Jak na zimowe warunki nielada to była wyprawa. Cel wycieczki oddalony 40 kilometrów od stacji kolejowej. Marian Smo-

luchowski pisze:

... Co tu widzimy przechodzi wszelkie nasze oczekiwania! Sceneria istnie alpejska.(...) Zmęczenie jeszcze mało odczuwamy, pomimo że tego dnia przebyliśmy już różnicę wysokości 1800 m i to w ciężkim rynsztunku zimowych wypraw.

Noc mieli spędzić w leśniczówce, która według mapy miała znajdować się w najbliższej dolinie. Po pięknym zjeździe osiągneli dolinę, lecz leśniczówki ani śladu! Prymitywna droga i zerwany most świadczył, że dolina była zupełnie opustoszała. Dziura pod wystającą skałą musiała zastąpić leśniczówkę. O spaniu mowy nie było,

... bo chłód i niewygodna pozycja skurczonych członków na to nie pozwalały.

Napotkane poprzednio ślady niedźwiedzia nakazywały ostrożność; browningi musiały być w pogotowiu.

... Zadowoleni jednak byliśmy z naszego schroniska, zwłaszcza gdy oprócz jednostajnego szumu potoku niebawem słyszeć się dał szmer kapiących kropeł deszczu.⁵

Podziwiamy jednak dalej panoramę z Popa Iwana. Na wschód wyróżnia się pojedyncza sylwetka szczytu Stoh (1655 m), na którym spotykają się granice trzech państw: Polski, Rumunii i Czechosłowacji. A jeszcze dalej za Stohem mało znane Góry Czywczynskie stanowiące granicę polsko-rumuńską. I gdzieś najdalej Hnatasia, ostatni graniczny szczyt nad źródłami Czeremoszów. Tam nas ciągnie!

Ciszę szczytową przerywa pojawienie się trojga czeskich turystów, ubranych w zgrabne szorty zamiast powszechnie używanych pumpów. Była to wtedy zupełna nowość w turystyce. Krótkie przywitanie i oni ruszają na Stoh. To byli jedyni turyści spotkani tego dnia. Czas iść. Zawsze się nam zdaje, że za mało jest czasu na szczycie.

⁵Armin Teske, Marian Smoluchowski. Życie i twórczość. PWN 1955

Dużo poniżej nas widnieją skałki Żerbana. Wybieramy drogę po rumuńskim zboczach. Spod szczytu Pop Iwan opada bardzo stromą, bujną, kwiecistą łąką na południe. Postanawiamy zjechać “rychlikiem” (po czesku pociąg pośpieszny). Kładziemy się bokiem na stoku i zaczynamy się tulgać – cała piątka – coraz prędzej, coraz prędzej. Trawa miękka, można śmiało. W głowie się kręci. Na wysokości przełęczy robimy stację. Teraz trawersujemy zbocze na zachód.

Stado owiec z młodym pastuchem. Cieszymy się, że wreszcie mamy przed sobą Rumuna i zagadujemy do niego spodziewając się usłyszeć egzotyczne słowa. Ku naszemu rozczarowaniu chłopak odpowiada lakonicznym pytaniem:

– *Majete tabaku?*

– Ot i Rumun z Kołomyi.

Podchodzimy już do grani Żerbana. Groźne z daleka skałki okazują się pojedynczymi głazami, wśród których wije się ścieżka. Mimo to grań Żerbana jest ładna i urozmaicona różnymi formami skalnymi. Mnóstwo okruchów krystalicznych świeci na ścieżce. Są to tzw. “brylanty marmaroskie” – krystaliczna odmiana węgla wapnia. Zbieramy je pilnie na pamiątkę. Ze szczytu piękny widok na dolinę Cisy. Na północ nad granicą lasu widać dobrze schronisko KČST i grupę czeskich kartografów z tyczkami. Ale my wolimy nasz Hotel “Blecha”, też dobrze stąd widoczny. Wracamy doń trawersując stromy zachodni stok Pop Iwana wśród ogromnych kęp trawy.

Przy obiedzie na łączce wzrok mój pada na strzęp porzuconej czeskiej gazety. Intryguje mnie tytuł skromnej notatki: *Povoden take v Krakove*. Z treści wynika, że na Podkarpaciu polskim jest wielka powódź⁶ i ciekawa wiadomość, że: *zalana jest obec Tarnov i Mościce*. A więc nasze mieszkanie pod wodą! Chwila namysłu. Skoro już zalane, to nic nie pomożemy. Więc zgodnie z planem zostaniemy tu do jutra.

Przed snem jeszcze spacer w stronę północną – pod Pietrosza. Pod jego szczytem przełęcz trawiasta i dalej ogromne pastwisko. A na naszej drodze olbrzymi rogaty byk. Zbliżyliśmy się. On patrzy podejrzanie na nas i ani chce ruszyć. Zatrzymujemy się przezornie, z szacunkiem oceniając jego wielkie i ostre

⁶rok 1934

rogi. On patrzy wciąż na nas. Nikt się nie rusza. Wtem ku naszemu przestraszowi, wysuwa się naprzód Wanda i idzie śmiało dalej. Byk wtedy odwraca się i odchodzi – ogólne westchnienie ulgi. Ufff! Tak została przez Wandę zdobyta przełęcz pod Pietroszem, niewątpliwie najniebezpieczniejszy odcinek naszej drogi. Ryzyko było niemałe i wiedzieliśmy dobrze, że zdarzały się napady wschodniokarpackich byków na turystów.

Druga noc w szałasie i rano wymarsz w dwóch grupach. Stasiak i Majka idą na północ, aby wyjść wprost na Pożyżewską. Ojciec, Wanda i ja wracamy do Trebuszan, aby stamtąd jechać do Jasini, słynnej ze strojów huculskich.

W Jasini niedzielny ruch. Mnóstwo turystów czeskich nadaje ton w restauracji. Kupujemy wspaniałą zapaskę huculską, przetykaną srebrem. Wracamy dalej koleją przez Worochtę. Omijamy w ten sposób burzę, która łapie Majkę i Staśka na grani Czarnohory. Wśród piorunów dotarli szczęśliwie na Pożyżewską. W Worochcie kupujemy 5-litrowy garnek emaliowany i zapasy na tydzień – na Hnatasię. I do fryzjera ogolić się na zapas.

* * *

Z Worochty na Zaroślak podjeżdżało się leśną wąskotorową kolejką, która miała urozmaicony skład wagoników. Były więc lory na zwózkę drewna, wielka drewniana klatka do wozienia owiec (dowcipni mówili, że dla niedźwiedzi), i wreszcie dla pasażerów, mały wagonik bez ścian – tylko ławeczki pod daszkiem. Wdychało się po drodze wspaniałe leśne powietrze, o ile nie zalatywał aromatyczny dymek z przeraźliwie kopczącej ciuchci. Oprócz nielicznych przystanków, pociąg zatrzymywał się również, gdy na torze pasło się stado owiec. Maszynista wysiadał i cierpliwie, łagodnie przeganiał je z toru.

Po noclegu na Zaroślaku ruszamy przed świtem leśną drogą na Pożyżewską na zbiórkę. Jak przed trzema laty las pogrążony w cieniu i ciszy. Tylko tym razem piekielnie ciężkie plecaki z zapasami żywności. Pociaszamy się myślą o koniku huculskim. I rzeczywiście oczekuje nas już, wraz z resztą towarzyst-

wa. Ruszamy teraz już lekko “drogą pod regłami”. Następnie skręcamy leśną drogą na południe.

W kotle pod Kozłami zaczęło się podejście. Zaraz po przekroczeniu górnej granicy lasu znaleźliśmy się w trawiasto-skalistym pustkowiu w białym mleku gęstej mgły. Droga szybko się zatraciła przechodząc w niewyraźne perci pasterskie. Zimny wiatr z deszczykiem uderzył nieprzyjemnie. Nasza szóstka “trzymała się kupy”, gdyż postać towarzysza oddalona o 20 m zniknęła we mgle.

Taki był początek ośmiodniowej wycieczki do źródeł Czereмосzu i szczytu Hnatasia. Celem pierwszego dnia było przejście grzbietu Czarnohory od przełęczy przed Kozłami do Pop Iwana (2022 m). Musimy trafić koniecznie na przełęcz pod Turkułem, gdyż pamiętam, że na prawo od niej jest odcinek skalisty, przez który nie przedostanie się nasz siódmy towarzysz. A jest to bardzo ważny towarzysz – konik huculski, niosący w besagach nasze plecaki z prowiantem na całe 8 dni, w ciągu których będziemy przebywać w pustkowiach bez możliwości zaopatrzenia.

Koniki te były często używane przez wycieczki w Karpaty Wschodnie, gdzie trzeba było mieć własny prowiant na wiele dni. Znam przypadek bardzo sprytnego wykorzystania takiego konika. Mój górski przyjaciel Tadeusz Bayer opowiadał, że wyruszając z Huculszczyzny grzbietem Karpat na zachód kupili tanio od Hucuła konika, który cały czas niósł prowiant i rzeczy. Doszedłszy w końcu do Cieszyna sprzedali go za dobrą cenę z zarobkiem. A żywienie konia w drodze nic nie kosztowało bo, pasł się na łąkach górskich.

Celując przy pomocy mapy i kompasu posuwamy się całkiem na ślepo po coraz stromszym zboczu. W chwili przejaśnienia ukazuje się na chwilę u stóp naszych Niesamowite Jezioro błado odbijające zamglone niebo. Cel poszukiwań zoologicznych badaczy z Pożyżewskiej. Małeńkie oczko błyszczące wśród szarozielonego jednostajnego otoczenia stanowi miły punkt oparcia dla wzroku po godzinnym wysłepianiu we mgle.

Wreszcie z ulgą osiągamy przełęcz we właściwym miejscu. Teraz konik ma już otwartą drogę przez rozległe połoniny szczytowe Czarnohory. Przed nami na przestrzeni kilkunastu kilometrów długi łańcuch szczytów o wysokościach dochodzących do 2000 m. Szczyty na ogół łagodnie zaokrąglone, stoki zaś dość

stromie, miejscami nawet obrywy skalne. Grań Czarnohory słynie ze wspaniałych widoków, zwłaszcza na południową stronę. Przyjmujemy to wszystko na wiarę, bo dziś jest mgła i deszcz, dające się jeszcze bardziej we znaki na grani, gdzie porządnie wieje.

Z początku jeszcze coś niecoś widać. Z lewej majaczy we mgle grań Kozłów, odchodząca na północ śmiałyymi turniczkami. Przypomina mi się samotna wędrownka przez Kozły w 1932 roku. Po głęboko wciętej przełęczce najwyższa turniczka, wchodzi na nią dość stromą ścianką – w dole widać jeszcze szereg fantastycznych igieł skalnych. Dalsza grań, to na przemian skałki i kosówka. Wreszcie przeszkoda – grań opada nagle bardzo stromą i gładką ścianką. Ale od czegoś wspinała kosówka zwieszająca długie gałęzie. Wieszam się na nich, dyndam chwilę i skaczę w dół. Wreszcie grań kończy się nagle i opada na wszystkie strony bardzo stromymi zboczami, szczelnie porośniętymi olbrzymią kosówką. Perci ani śladu. Więc chwytam za czubki dwóch gałęzi i zsuwam na dół po kosówkach. Ten sposób okazuje się całkiem wygodny. Więc powtarzam skok po skoku i stosunkowo szybko ląduję na dnie doliny rozżarzonej w słońcu jak piec.

Ale czas powrócić do zimnej deszczowej rzeczywistości roku 1934. Idąc głównym grzbietem mijamy sterczący wyżej od nas szczyt Gutin Tomnatyka (2016 m). Gdybyśmy mieli czas wejść na jego szczyt, ujrzelibyśmy z lewej strony ogromny kocioł skalny, głęboki na setki metrów. Na jednej jego ścianie widnieją ogromne czarne nacieki. Skąd się one wzięły? Otóż dawno temu, a może i dawniej schronił się tu uciekający przed prześladowaniem swych panów olbrzym Hołowacz. Gdy sobie rozpamiętywał swoją krzywdę, zjawił się sam Diabeł i jął go kusić. Słuchał dobrotliwy Hołowacz cierpliwie, ale gdy Diabeł nie ustawał, porwał go gniew szalony. Schwycił skałę wielką w swe mocarne dłonie i jak nie praśnie w Diabła. Ze zmiążdżonego cielska polała się obficie czarna krew diabelska. I dotychczas trwa na skałach.⁷

Idziemy dalej. Mgły zasłoniły wszystko. Zbliżyliśmy się do najwyższego wzniesienia w środkowej Czarnohorze, do szczytu

⁷Stanisław Vincenz, *Na wysokiej Poloninie*.

Brebenieskuł (2037 m). Ponieważ wznosi się znacznie ponad otaczające przełęcze, więc omijamy go trawersem. Trudna orientacja we mgle na ślepo w olbrzymim trawiastym zboczach. Można zupełnie zejść z grani na południowe stoki. Jakoś trafiamy na przełęcz i znów jednostajna wędrówka; szczyty, przełęcze – we mgle wszystko jednakowe.

Pamiętam ten śmieszny obrazek. Mieliśmy wtedy wszyscy peleryny własnego kroju – dość krótkie. Przez mgłę widać było tylko sylwetki: spiczasty kaptur, potem szeroka peleryna i długie, długie nogi. Pięć zakapturzonych postaci wyciągniętych w długi sznur, potem konik też okryty płótnem nieprzemakalnym, wreszcie Hucuł w kapeluszu. Wszystko stonowane przez mgłę – szare postaci na tle bezbarwnej szarawej jasności. W uszach bębnią nieustannie kropelki deszczu uderzające o kaptury. Wiatr gwizdzie cicho, jednostajnie. I tak cały dzień bez zmian.

Zbliża się pora obiadu, a tu wszędzie dmucha i leje na grani. Wreszcie mającą jakieś skałki i o dziwo wnęka pod nimi częściowo obmurowana głazami, chyba pozostałość I wojny. Wprost komfortowa jadalnia. Dymią kuchenki, a serca się krzepią.

I znów wędrówka na ślepo. W jednym punkcie zwrotnym grani chwila nieuwagi i już błądzimy schodząc na boczną grań. Ale wreszcie kończą się przełęcze i zaczyna się długie podchodzenie do góry. Przed nami kulminacyjny punkt dnia – szczyt Pop Iwana (2022 m). W zupełnej mgle zbliżamy się do szczytu i nagle widzimy małą wieżyczkę triangulacyjną. Za nią grań gwałtownie opada w dół. Pogoda deszczowa i wicher nie pozwalający na tradycyjną, tak miłą sercu, “Gipfelstunde”. Marzniemy szybko w bezruchu – trzeba schodzić. Ale jak?

Oczywiście problem nie dla nas, ale dla konika huculskiego. Mamy zejść do Szybenego. O ile droga granią była w sam raz dla konika, o tyle teraz jest nad czym się zastanowić. Na północ od szczytu stok opada nagle: parę skałek, a pod nimi przestrzeń wypełniona mgłą. Jednak bliższe oględziny wykazują, że po ominięciu skałek stok jest wprawdzie bardzo stromy, ale jednak trawiasty. Najtrudniejsze miejsce jest pod samym szczytem.

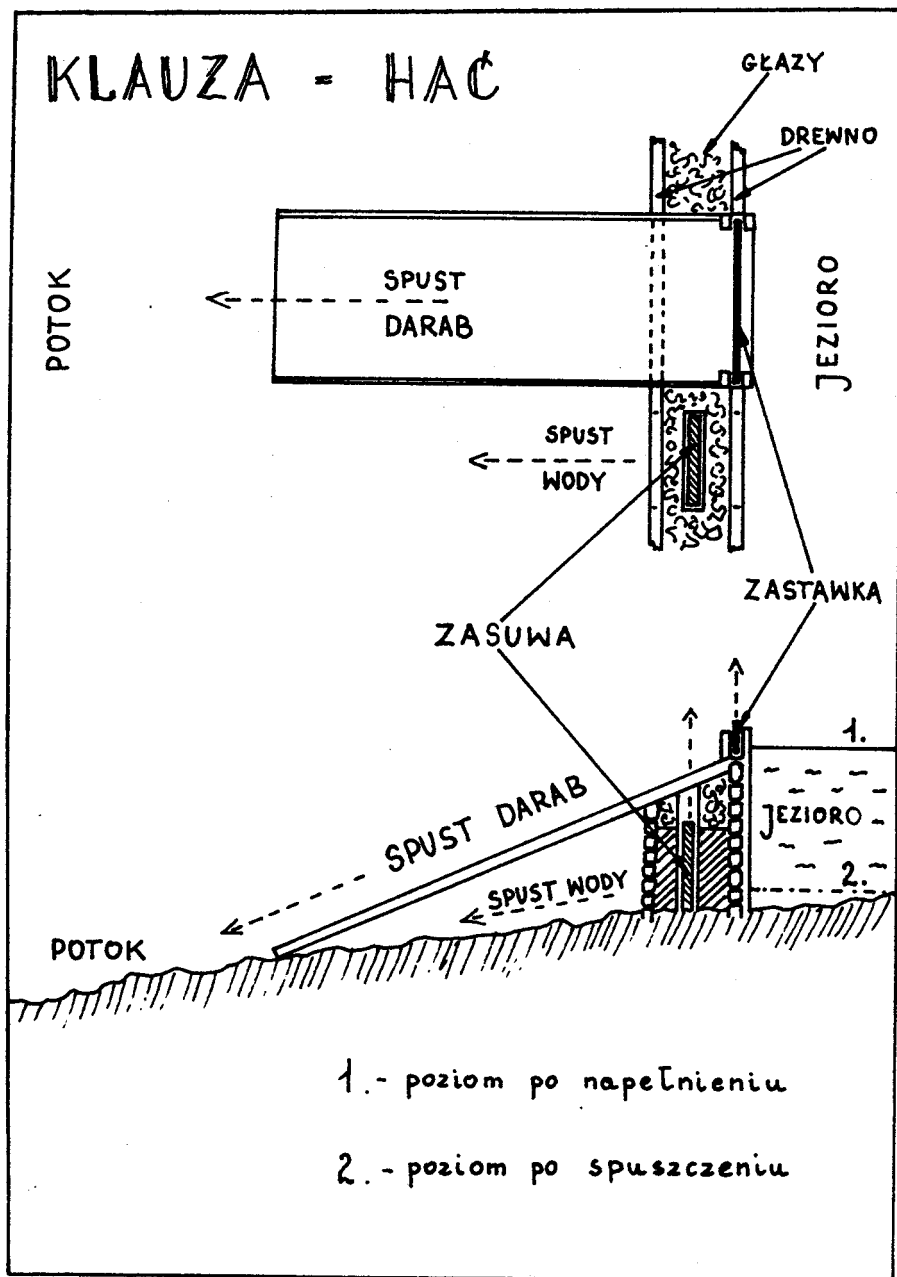
Dmytro, właściciel konika, klnie żeśmy wyprowadzili na takie bezdroża, że koń nogi połamie. Więc potulnie wyjmujemy z besagów cały nasz bagaż, ładujemy na plecy i schodzimy pierwszy

wyszukując najłatwiejszą drogę. Dmytro pomalutku sprowadza konika, który okazał się bardzo zręczny i bez wypadku zszedł na łatwiejszy w dole stok. Im dalej w dół, tym rzadsza mgła i więcej światła – odsłaniają się ogromne połoniny, a na ich krańcu zabudowania pasterskie. Okazuje się, że jest i kuchnia, i stryżek z sianem. Zamiast więc schodzić do Szybenego, zostajemy na nocleg. Nareszcie można się wysuszyć po całodniowym laniu i ugotować porządną kolację na prawdziwym piecu.

Nazajutrz wita nas piękny słoneczny ranek – nagroda za wczorajszą wytrwałość. Schodzimy do jeziora Szybeny i tam oglądamy pierwszą klauzę na naszym szlaku.

Klauza to specyficzny twór starej techniki leśnej we Wschodnich Karpatach, z czasów gdy nie było dróg ani kolejek leśnych. Umożliwia ona spławianie drewna na płytkich, górskich rzekach. Jest to podwójna ściana drewniana wypełniona wewnątrz kamieniami i odpowiednio uszczelniona. Postawiona w poprzek koryta potoku górskiego powoduje jego spiętrzenie i utworzenie sztucznego jeziora. Posiada ona dwa otwory, jeden dolny – przechodzący tamę na wylot, zamykany na potężną zasuwę drewnianą. Drugi – górny na wierzchu tamy stanowi szerokie wrota nieco poniżej najwyższego stanu wody (patrz rysunek).

Klauza działa periodycznie. Napełnianie wodą trwa wiele dni, zależnie od pogody, to jest suszy czy deszczu. Tymczasem zwozi się koźmi pnie drzew przeznaczone do transportu wodnego. Gdy już woda jest dostatecznie spiętrzona, buduje się na niej tratwy, zwane darabami. Gdy zaś osiągnie poziom powyżej górnego otworu, odmyka się go, a flisacy zwani tu kiermanyczami ustawiają daraby tak, aby spływająca woda porwała je w ten otwór. Poniżej jest łagodnie pochylone koryto, którym daraby spływają na dno potoku. Równocześnie odmyka się stopniowo dolny otwór, co powoduje wydatne podniesienie poziomu wody i gwałtowny prąd niosący szybko daraby. Trwa to aż do całkowitego wyczerpania jeziora. Wystarcza to, aby daraby dotarły daleko na głębsze wody rzek. Zawód kiermanycza wymaga wielkiej zręczności, siły i odwagi. Trzeba bowiem kierować ogromną masą drewna, pędzącą z wielką szybkością wśród stosunkowo wąskich i skalistych brzegów. Śmierć grozi dosłownie na każdym zakręcie. W razie rozbicia daraby trudno o ratunek wśród wód pędzących ogromne pnie pomiędzy głazami. Toteż



nie brano wtedy turystów na daraby inaczej, jak tylko za zezwoleniem dyrekcji lasów, po złożeniu pisemnego oświadczenia, że się jedzie na własne ryzyko. Flisacy robią wtedy platformę dla gości, nie zalewaną przez fale. Ale w razie rozbicia nie ma innego ratunku jak skakać w biegu na brzeg, jeśli jest dość blisko oczywiście.

Klauza Szybeny utworzyła malownicze jezioro, do którego dotyka bezpośrednio stromy, zalesiony stok górski, dając piękne odbicie świerków w wodzie.

Za wioską Szybeny spotykamy żołnierza polskiej Straży Granicznej, jedyne napotkanego w ciągu ośmiodniowej wędrówki na granicy czeskosłowackiej i rumuńskiej. Sprawdził legitymacje PTT opatrzone konwencyjną wizą czeskosłowacką.

Od potoku Szybeny polska władza nie urzęduje, mimo iż terytorium nasze sięga o dwa dni drogi, wbite ostrym klinem w głąb Rumunii. Sama granica nie jest strzeżona, a tylko dostęp do doliny Czarnego Czeremoszu.

W czasie spoczynku obiadowego Dmytro puścił konika na łąkę. A ten ni z tego, ni z owego obrócił się w dół doliny i ruszył z kopyta. Widocznie w kierunku domu. Zmartwieliśmy, a Dmytro z wielkim trudem go dogonił. Odtąd nie puszczał go więcej wolno.

Teraz celem naszym jest Burkut, owe legendarne uzdrowisko, czynne w XIX wieku. Obecnie zapomniane w puszczy karpackiej. Zbliżając się do niego napotkaliśmy pierwsze źródło mineralne. Na stromym stoku nad drogą rzucały się w oczy duże jaskrawobrązowe nacieki, po których sączyła się woda. Wody te są silnie żelaziste, ponadto zawierają kwas węglowy i nieco siarkowodoru. Ten ostatni z początku nam nie smakuje, ale po jednym dniu przyzwyczajamy się i mamy ochotę wciąż pić te wody.

Sam Burkut zupełnie podupadły. Parę domków gajowego i maleńkie, niezagospodarowane schronisko PTT. Ale grunt, że można się przespać i coś ugotować. Dowiadujemy się, że owszem jest tu źródło, z którego można pić. Źródło okazuje się miniaturową drewnianą altanką osłaniającą małe, obmurowane wgłębienie w ziemi. W środku tryska źródółko cennej wody, która odpływa do pobliskiego Czeremoszu.

A wokół bór ciemny i pustkowie. Wieczorem w schronisku

spotykamy paru turystów, którzy udzielają nam bardzo cennych informacji o dalszej drodze. Że za kłauzą Łostuń znajduje się domek, w którym mieszka ekspedycja geologiczna, że za szczytem Hnatasi znajduje się strażnica rumuńska, w której można przenocować, że na drodze do Hnatasi znajdują się olbrzymie pola kosówki, w których można zabłądzić. Pokazują nam na swej mapie austriackiej 1:75 000 właściwy szlak u końca doliny. Ponieważ moja mapa kończy się za Burkutom, więc skwapliwie kalkuję przez bibułkę interesujący nas odcinek mapy, pomijając z konieczności szczegóły. Skutki przyszedł później.

Trzeci dzień, to niekończący się marsz wzdłuż Czarnego Czeremoszu, niezliczone przechodzenie przez mosty nad huczącym potokiem. Tu i ówdzie przyciąga wzrok zbocze skalne odsłonięte w obrywach nad rzeką. A w górę po obu stronach zbocza, szczelnie pokryte wspaniałymi lasami. Zbocza tak strome, że na ogół nie widać nad nimi szczytów. Nigdzie ani budynku, ani człowieka. Czasem tylko ptak jakiś poszybuje nad lasem.

Po południu dochodzimy do kłauzy Łostuń. Duże jezioro odbija wspaniałe obłoki zachodzące na słońce. Spotykamy tu dziwną karawanę przybyłą z gór. Koniki objuczone berbenyciami czyli drewnianymi beczułkami służącymi zwykle do transportu serów, z których Huculi wysypują starannie jakieś dziwne kamienie i ładują je na daraby stojące na jeziorze. Uprzejmie wita się z nami starszy Hucul w wytartym kożychu i czapie futrzanej. Z twarzy jego przebija jakaś szlachetność i powaga. Objasnia nam, że są to rudy manganu, odkryte przez prof. Tokarskiego ze Lwowa. Surowiec jest spławiany na darabach daleko na północ, przeladowywany na kolej i w którejś hucie przerabiany tytułem próby.

Stary wraca w górę doliny do szałasów drwali i pasterzy. Idziemy razem prowadząc interesującą rozmowę. Dochodzimy do niskiego okrągłego szałasów. W środku na kamieniach ognisko, na około na pryzkach siedzą umorusane chłopcy. Witają nas gościnnie, proszą siadać, częstują żentycą. Z godzinę odpoczywamy u nich w miłym nastroju.

Ale pora w drogę, trzeba na noc dojść do chaty geologów u stóp góry Bałtaguł. Gdy docieramy tam, prof. Tokarski gościnnie przyjmuje nas na noc. Wprawdzie łóżek gościnnych nie ma, ale jest miejsce i sienniki na podłodze w jadalni. W tym

puszkoziołu cenne schronienie. Zresztą nie tylko dla nas. Schodzą z gór na noc przedziwne typy – z puszkami botanicznymi, z siatkami na motyle, z klateczkami zawierającymi jakieś niezwykle myszy leśne, ze słoikami, zielnikami. To pracownicy naukowemu wysłani przez Polską Akademię Umiejętności w Krakowie dla badania tego najdalszego zakątka Rzeczypospolitej, kryjącego jeszcze wiele niespodzianek przyrodniczych. Kolacja przy wspólnym stole schodzi wesoło. Uczenni chwalać się zdobyczami dnia. Prof. Tokarski jako gospodarz stwarza wesoły, koleżeński nastrój.

Po kolacji niespodzianka. Ognisko – ale jakie! Na łące w środku doliny rośnie stos. Nie gałązki tam padały, ale całe świerki. Dwóch ludzi niosło taki świerk. Bogate lasy – starczy. A jak buchnął ogień, to jakby się cała chata paliła. Wśród ciemnej nocy cała polana zajaśniała. Na pierwszym planie świecą figurki ludzkie rzucając długie cienie. Dalej zabarwiają się czerwono pnie drzew na skraju lasu dookoła polany. A dalej ciemny las zaledwie się oddziela od gwiaździstego nieba. Chwytniemy się wszyscy za ręce i tworzymy olbrzymi pierścień wirujący ze śpiewem naokoło ognia. A nowe świerki wciąż wałać się w ognisko wzbijając tumany iskier.

Nazajutrz podziękowawszy za gościnę ruszamy wcześniej. Przed nami już bliski cel – Hnatasia. Dolina zmienia swój charakter. Przez lasy coraz częściej widać okoliczne szczyty gór Czywczyńskich, potok coraz płytszy, mosty zmieniają się w wąskie kładki dla pieszych, dno doliny rozszerza się i otwiera widok na górne piętro porośnięte karłowatym lasem i kosówką. Jasno tu, słonecznie, kwiecisto. Po parodniowej wędrówce dnem doliny Czeremoszu kontrast ogromny. Lecz cóż to? Na łąkach dna doliny leży coś ogromnego, co pod słońce przypomina czarny szkielet przedpotopowego potwora. Wystają w górę gigantyczne żebra. Okazuje się, że to umarła klauza, opuszczona przed dziesiątkami lat. Olbrzymie bale długo jeszcze będą świadczyły o pracy poprzedniego pokolenia.

A w dali na południu widać już cały odsłonięty grzbiet Gór Czywczyńskich, stanowiący granicę z Rumunią. A na nim przedziwna grupa skalna. Ni to ruiny zamczyska z wieżami, ni to olbrzymi kopiec termitów. To szczyt Komanowej (1734 m). Tak mówią geografowie. Ale lud lepiej zna prawdę Wiercho-

winy Huculskiej. Ów kopiec to skamieniała baba Jewdocha. Z chytryści chciała ona paść swe owce na połoninie znacznie wcześniej, niż to jest we zwyczaju. Na próżno odradzali jej ludzie – *Zmarzniesz! Tam na górze jeszcze zimno!*. Nie boję się – odparła – *włożę dwanaście kozuchów*. I nie pomogły kozuchy. Zamarzyła tam i stoi na Komanowej po dziś dzień, zaklęta w kamień, co każdy, kto mi nie wierzy, może sam sprawdzić.

Dalsz droga wydała się zupełnie prosta – wzdłuż potoku na grzbiet główny. Tymczasem dalszy bieg potoku porasta las niewysoki, ale bardzo gęsty uniemożliwiający orientację w terenie. W pewnym miejscu potok rozwidła się na dwa mniejsze i z mojej źle przerysowanej mapy oraz rad otrzymanych od turysty w Burkucie wynika, że należy iść wzdłuż lewego potoku. Posuwamy się nim w gąszczu poszycia coraz stromiej do góry. Żadnego śladu perci. Konik z trudem przebija się przez krzaki. Nam też nielekkie idzie. I do tego gorąco. Wśród niepewności przebijamy się ciężko w górę. Wreszcie pochylenie stoku maleje, więcej drzew iglastych i okrzyk radości – przed nami olbrzymia łagodna połonina. Nareszcie można się zorientować w terenie. Nielatwo nam to przychodzi, bo grzbiet połoniny ma inny kierunek niż powinien mieć według mapy i kompasu. Komanowa wcale się nie przybliżyła, tkwi gdzieś bardzo daleko, a powinna być blisko. Na grzbiecie ani śladu słupków granicznych. Gdzież więc jesteśmy?

Z trudem odczytujemy, że jesteśmy na Palenicy, a Hnatasia leży o parę kilometrów na południe. Można by do niej dojść, ale drogę zagradzają olbrzymie pola kosówki. Palenica słynie z największych w Karpatach Wschodnich pól kosówki. Za połoniną całą szerokość grzbietu zagradza zwarty mur kosodrzewiny, wysoki na piętro. Nieraz słyszeliśmy ostrzeżenia, że zapuszczanie się w głąb grozi nie tylko zabłądzeniem, ale że kosówka Palenicy stanowi wręcz pułapkę. Tylko tamtejsi pasterze znają nieliczne przejścia przez tę zaporę.

Na szczęście zjawiają się i oni z olbrzymim stadem owiec, które tłumnie się do nas cisną, spodziewając się soli. Jeden z pasterzy podejmuje się nas przeprowadzić przez kosówki aż do Hnatasi. Jest to ogromny drab w osmolonym ubraniu i czarnym kapeluszu. Wielka ciemna twarz, grube wargi, ogromne

oczy nadają mu groźny wygląd. Chyba potomek górskich nomadów z południa – Wołochów. Postać dziwnie harmonizuje ze stadem potężnych byków nadciągających za nim.

Ruszamy. Nasz olbrzym sprowadza nas nieco w dół na zbocze w jakieś wąskie przerwy pól kosówki. Tracimy zupełnie widoczność. To nie pocziwa kosówka tatrzańska, ponad którą możesz patrzeć. Konary sięgają wysoko ponad nasze głowy. Idzie się jak między murami. O przebijaniu się na siłę przez ten gętki gąszcz nie ma mowy. Kluczymy więc posłusznie za naszym przewodnikiem. Potem natrafiamy na coś w rodzaju wgłębienia przecinającego stok z góry na dół. W tym wgłębieniu jest wąski korytarz, wolny od kosówki. Idziemy nim w górę. Chwilami korytarz zamienia się prawie w tunel, tak wysoko wybijają gałęzie. Idziemy cały czas na ślepo, tyle tylko wiemy, że wznosimy się do góry. Nareszcie jednak kosówka przerzedza się i dość nieoczekiwanie stajemy na głównym grzbiecie, oszłomieni dalekim widokiem na południe – to Rumunia! Wąski grzbiet wznosi się dalej i kończy niewielkim trapezem – to już Hnatasia (1769 m), o której marzyliśmy tyle dni.

Olbrzym otrzymawszy wynagrodzenie pogrąża się z powrotem w kosówkowy labirynt i znika. Jesteśmy znów sami. Krótki posiłek i ruszamy na wymarzony szczyt. Trochę głazów, podnieszczonego trapez, żelazny słup z tablicą z lanego żelaza. Z jednej strony tablicy polski orzeł w koronie, z drugiej rumuński lew, też z koroną na głowie.

Rozglądamy się. Pustka. Bezkresne pola kosówek zalegają całe góry, niżej gęste lasy. Osiedli ludzkich ani śladu. Przestrzeń ogromna. W Rumunii jakaś wielka dolina, której kres ginie w mgłę. Góry jakieś wielkie, nieznane – dziesiątki szczytów na południu. Zachmurzenie potęguje wrażenie. Wszystko pogrąża się w jakimś zielono–granatowym kolorze. Powiększa to wrażenie samotności. Nie mamy mapy, więc tym bardziej tajemnicze dla nas zostaną. Jak przyjemnie jest wpatrywać się w nieznane i bezkresne.

Ale wieczór blisko. Według informacji ma tu być niedaleko strażnica rumuńska, za Hnasią na miejscu zwanym Faca Banului. Schodzimy ostro w dół wzdłuż granicy po trawistym dywanie. Wkrótce za uskokiem grzbietu odsłania się parę szop drewnianych. Zbliżyliśmy się i wołamy. Ani żywego du-

cha. Wobec tego podchodzimy do reprezentacyjnego domku z obłamany ganeczkim, nad którym wisi drewniana tablica z bardzo długim napisem. Zapamiętałem tylko słowa: “Regimentul Pichetul Graniceri” i “Descartati d’arma”.⁸ Wchodzimy na ganek – pusto. Wchodzimy do izby – pusto wszędzie, głucho wszędzie. Ale oto stojak z paru karabinami. Ha! więc twierdza w naszych rękach, bo załoga bez broni.

Ale oto i oni. Trzech żołnierzy w podniszczonych mundurach, boso, bez broni pędzi do strażnicy z wyraźnymi oznakami niepokoju. Ale my wspaniałomyślnie darujemy im życie i przyjaźnie ich witamy, uśmiechając się jak umiemy najmilej. Zaczynamy rozmowę próbując po kolei wszystkich znanych nam języków. Bezskutecznie. Poczciwi żołnierze znają tylko swój rumuński, o co zresztą nie można mieć do nich żalu. Wobec tego idzie w ruch międzynarodowy alfabet na migi. Przechylając głowę i zamykając oczy dajemy do zrozumienia, że chcemy spać. Rezultat natychmiastowy. Pokazują nam łóżka. Potem przy pomocy menażki i łyżki objawiamy chęć gotowania. Prowadzą nas do małej szopy z piecykiem i rozpalają w nim ogień. Dalsza współpraca poszła gładko. Dowiedzieliśmy się, że “fuka” to znaczy ogień, a “fuma” dym i jeszcze szeregu innych pożytecznych słów.

Ja z Majką jesteśmy kucharzami wyprawy. Podczas gdy w szopie gotujemy ucztę zwycięstwa, Stasiak robi nam zdjęcie przez otwarte drzwi szopy. Po kolacji jeszcze mały spacer kilkadziesiąt metrów w stronę Hnatasi. Tracimy z oczu strażnicę i znów stajemy wobec ogromu przestrzeni spotęgowanego ciemnością. Księżyc nad Rumunią ledwie oświetla chmury. Wielka dolina wypełniona mgłą wygląda jak jezioro. Czarne kontury szczytów pięknie się odcinają na tle oświetlonych chmur. Wzrok ginie w dali na południu. A na północy, w Polsce martwo – morze lasów czarnych a nad nimi ciemne niebo. Ale oto coś migoce wysoko w górach – to ognisko pasterzy. Wzrok z przyjemnością szuka oparcia w tym jedynym śladzie istnienia innych ludzi.

Ułożenie się do snu wymagało rozwiązania zadania matematycznego, jak rozdzielić 3 łóżka na 6 osób. Zestawiliśmy je

⁸Pułk Straży Granicznej. Rozładuj broń.

razem obok i legliśmy pokotem. Konia Dmytro przywiązał do ganku tuż pod naszym oknem. Bo Rumuni . . . wiadomo . . .

Gdy my się kładziemy, dwóch Rumunów wdziewa buty i płaszcz, biorą broń i ruszają patrolować granicę przez całą noc. Ich system ochrony granicy polega na utrzymaniu małych strażnic na grzbiecie górskim i stałym patrolowaniu.

Nad ranem alarm – ktoś odwiązuje konia z ganku i prowadzi go. Dmytro pędzi ale zaraz wraca uspokojony. To żołnierz poprowadził konia na pastwisko, aby się posilił przed marszem. Po śniadaniu drugi alarm. Konika nie widać na łące. Czyżby skradziony? Rumun popędził na poszukiwanie i po długim pełnym napięcia oczekiwaniu przyprowadził go. Koń sam się zapędził za lepszą trawą.

Słoneczna pogoda pozwala na rozejrzenie się w terenie i drodze. U stóp naszych tajemnicze Rozrogi opisane przez Wincenego Pola. Miał tam znaleźć w najdalszym kącie głąz z wykarbowanymi literami F.R. co tłumaczył “Finis Reipublice” – koniec Rzeczypospolitej. Wspominając ten fakt Stanisław Vincenz przypomina, że na dawnych mapach i dokumentach, nie dawniej wszakże niż od 600 lat oznaczano Palenicę jako kąt trzech państw: Polski, Węgier i Wołoszczyzny. Darmo Władysław Krygowski w swej wędrówce do źródeł Białego Czeremoszu szukał pradawnych słupów granicznych. A my już tylko widzimy żelazne słupki dzielące Polskę od Rumunii. Wąska górna część doliny Białego Czeremoszu oddzielona jest od Czarnego Czeremoszu grzbietem Palenicy i Prełucznego. Granica Polski szła nieco dalej na wschód od Hnatasi i zawracała na północ tak, aby dalej biec potokiem Białego Czeremoszu. Gdzieś w dole, głęboko ukryty w lesie płynie ten graniczny potok, a my mamy do niego dotrzeć i razem z jego biegiem schodzić do Klauzy Perkałab.

Koń już objuczony besagami, my plecakami – wspólna fotografia z Rumunami – i chwila pożegnania. Płacimy za nocleg srebrną pięciozłotówką, która zostaje przyjęta z uznaniem. Żegnamy się z gościnnymi żołnierzami zachowując sympatyczne wspomnienie. Ci prości, boso chodzący ludzie zachowali się jak gospodarze schroniskowi w najlepszym stylu.

Zanurzamy się stopniowo w głąb doliny. Robi się gorąco na nasłonecznionym stoku. Wokoło pyszne trawy i kwiaty. Trzy-

mamy się uważnie śladów perci, bo bez niej nie przebrniemy przez las. Wreszcie z ulgą wchodzimy w cień pierwszych drzew. Bujny dziki las otacza nas gęstym poszyciem. Prowadzi nas niezawodna perć. Od czasu do czasu małe polanki, zarośnięte chwastami prawdziwie tropikalnych rozmiarów. Parno tu i gorąco jak w piecu. Fotografuję Staśka, który bez koszuli przebija się przez gąszcz pokrzyw wystrzelających wysoko ponad jego głowę.

Wreszcie wśród coraz gęstszego zadrzewienia widzimy żelazny słup graniczny. Teraz wyraźniejsza już ścieżka powinna iść granicą. Ale gdzie tam! Wije się ona, zależnie od układu terenu raz po jednej, raz po drugiej stronie. Raz widzimy Orła Białego, drugi raz Królewskiego Lwa. Wtedy idziemy z duszą na ramieniu, bo ścieżka oddała się nieraz o kilkadziesiąt metrów od granicy, a my nie mamy dokumentów uprawniających do przekroczenia granicy Jego Królewskiej Mości Karola II. Spotkanie rumuńskiej straży granicznej może kosztować nas dużo, dużo ...pieniędzy! Ale posuwanie się stale po naszej stronie wymagałoby dosłownie przebijania się przez gąszcz na bardzo stromym stoku. Trudne dla pieszych, niemożliwe dla konia. Na szczęście onego czasu nikt poważnie nie pilnował granicy. Od pożegnania z żołnierzami na Faca Banului aż do klauzy Perkałab nie spotkaliśmy całej dzień ani jednego człowieka. O złoty wieku! O idyllo!

Wtem nowe dziwo. Poprzez drzewa widzimy w dolinie jakieś gigantyczne rumowisko głazów i belek. Z bliska przekonujemy się, że to ruiny klauzy imienia Arcyksięcia Rudolfa (Habsburga) z czasów Monarchii Austro-Węgierskiej. Powyżej klauzy całe dno doliny wypełnione kamieniami, które niesione pędem wody osiadały na dnie sztucznego jeziora. Gdy wypełniły całe dno – klauza przestała działać jako zbiornik i została opuszczona. Gnijące resztki pogruchotanych belek leżą, rozsypując się w proch. Las powoli, ale konsekwentnie bierze z powrotem w posiadanie dolinę. Aż kiedyś zniknie to dzieło rąk ludzkich wraz z pamięcią o legendarnym już dla nas Arcyksięciu, na którego chwałę cesarsko-królewscy leśnicy nazwali czołobitnie klauzę.

Wreszcie ścieżka zdecydowanie skręca na rumuńską stronę. W dole ukazuje się urocze jezioro zamknięte z dołu ścianą drewnianą. To czynna klauza Perkałab. Ścieżka idzie po rumuń-

skiej stronie jeziora, a kilkadziesiąt metrów wyżej wśród skał maleńki domeczek. Na jego dachu blaszana chorągiewka niebiesko-żółto-czerwona. Rumuńska straż graniczna. Położenie bez wyjścia – polski brzeg stromy i niedostępny. Jedyne przejście jest po samej klauzie za domkiem straży. Więc szybko, szybko przemykamy do klauzy. Na szczęście w strażnicy ani śladu życia. Wreszcie uff! stoimy po polskiej stronie.

Czas na zasłużony odpoczynek i rozejrzenie się po dolinie Białego Czeremoszu. A jest na co popatrzeć. Teraz dopiero możemy spojrzeć wstecz w górę doliny, którą schodziliśmy. Widać cały łańcuch górski ograniczający Perkałab od wschodu. Bardzo strome stoki porośnięte lasem aż po szczyt. Jedno zielone morze grające barwami w słońcu.

Bliżej jeziora teren coraz bardziej skalisty. Lśni w słońcu białe wapienie. Ale dopiero poniżej klauzy zaczyna się królestwo białych skał. Dolina zwęża się gwałtownie przechodząc w skalisty wąwóz. Po polskiej stronie kilkudziesięciometrowe, miejscami przewieszane urwiska spadają wprost do potoku tworzącego jezioro. Stojąc w górze patrzymy prawie pionowo w głąb czystej wody. Nad ścianą wiszący las wspina się coraz wyżej. Ściana tworzy ciemną bramę, poza którą w dole jarzy się w słońcu dolina pełna barw – zielonych trawek i białych skał, niebieskiego potoku i ciemnego lasu. Pyszny obraz oprawiony w jedyną w swoim rodzaju ramę.

– *Dzień dobry państwu!* – słyszymy za sobą – *jak wam poszło na Hnatasię?*

Spotkanie przyjaciół w górach jest zawsze miłe, ale tu na tym pustkowiu staje się wydarzeniem. Radośnie witamy przyrodników znanych nam z Pożyżewskiej i Bałtagułu. Są obładowani pudełkami i słoikami ze zbiorami. Zapamiętali sobie z Bałtagułu, że mamy konfitury (Mama nas zaopatrzyła) i teraz proszą o puste słoiki do swoich owadów. Ogarnia ich rozpacz na wiadomość, że słoiki podarowaliśmy rumuńskim żołnierzom. Słoików takich, zwykle bezwartościowych, nie znajdzie się w promieniu 50 km. Zabawny przyczynek do pojęcia wartości.

Nad rumuńskim grzbietem gór pojawiają się jakieś olbrzymie ptaszyska. Kołują majestatycznie na nieruchomo rozpostartych czarnych skrzydłach. Mimo wielkiego oddalenia wyczuwa się ich ogrom. Przyrodnicy objaśniają, że są to sępy siedmiogrodz-

kie. Niestety, nie zbliżają się do nas i znikają za górami budząc tylko marzenia o bezkresnej wędrówce przez morze gór.

Do noclegu przy klauzie Łostuń jeszcze daleko. Trzeba przekroczyć łańcuch górski oddzielający dolinę Białego Czeremoszu od Czarnego. Droga prowadzi przez szczyt Prehuczny (1541 m), na którym mamy zobaczyć odkrywki złóż rud manganowych, wykonane przez wyprawę geologiczną prof. Tokarskiego. Po parogodzinnyim podejściu wychodzimy ponad las i wśród szczytowych łąk napotykaemy jamy w skalnym podłożu, a koło nich sporo ukruszonej rudy. Są tu dwa gatunki związków manganu. Różowy węglan i szaro-czarny tlenek. Węglan jest wypalany na miejscu celem uwolnienia od zbędnego obciążenia związanym dwutlenkiem węgla i przeobrażenia w formę wzbogaconą w mangan, jaką jest tlenek manganu. Zbieram kolekcję próbek dla Gabinetu Mineralogicznego Politechniki Warszawskiej prowadzonego przez prof. Tadeusza Wojno.

Rozglądamy się na południowywschód. Lasy i połoniny na przemian. Wszystko stonowane łagodnym różowym światłem zachodzącego słońca. Na południu sylwetka Hnatasi – symbol spełnionego marzenia. Niżej ukryty między grzbietami Perkałab – wspaniała dolina zakryta przed światem.

Słońce zaszło. Krajobraz nagle stracił ciepły ton. Wszystko jest teraz bladezielonkawe. Dalsze grzbiety górskie toną w delikatnym jasnoniebieskim kolorze. Zrywa się zimny wiatr. Trzeba ruszać. Żegnaj Hnatasio! Żegnaj Perkałabie!

Ostatnie spojrzenie w zielono-błękitną dal i zanurzamy się w las. W gęstniejących ciemnościach docieramy do klauzy Łostuń, zamykając pierścień dwudniowej wędrówki.

Prosimy nadzorcę Klauzy o nocleg. Nie mając miejsca na tyle osób w swym małym domku umieszcza nas na samej klauzie, w budwie chroniącej mechanizm regulujący zasuwę spustową tamy. Uprowadza nas, że dziś w nocy nastąpi spuszczenie wody i daraby odpłyną w dół. Odmawia przyjęcia nas na daraby, bo nie mamy zezwolenia dyrekcji lasów.

Kładziemy się na sianie pod olbrzymią śrubą zaworu i natychmiast zasypiamy. Budzi nas niezwykle, głuchy i jednostajny huk. Po otwarciu oczu jawi mi się niesamowity widok. Leżąc na wznak widzę na suficie i ścianach jakieś niezwykle cienie – po suficie kręci się cień olbrzymiego drąga, a na ścianach przesuwają

ją się wciąż sylwetki ludzkie, bez ustanku, bez wytchnienia idą, idą, idą. Cóż to?! Unoszę głowę. Na podłodze stoi lampa naftowa, na olbrzymią śrubę nałożony drąg, a wsparci na obu jego końcach jak konie w kieracie, chodzą w kółko dwa ponure draby w pomiętych kapeluszach. Mijają minuty, dziesiątki minut, a oni chodzą i chodzą w milczeniu. Olbrzymia śruba milimetr po milimetrze idzie do góry ciągnąc zasuwę. Całe jezioro wali się z rykiem w dół pod naszą podłogą.

Wreszcie ciekawość pokonuje lenistwo i wychodzimy na klauzę. Noc księżycowa. Tratwy już zniknęły z jeziora. Teraz przez dolny otwór pod "naszą" budą wałą masy wód, rozbijając się zaraz o skały na tysiące rozbryzgów, fontann, miliony kropel. A wszystko bajkowo lśni w ostrym świetle księżycy. Całe łożysko Czeremoszu to jedna biała kipiela, tym bielsza, że obramowana czarną ścianą lasu. A gdzieś daleko w dole pędzą daraby prowadzone przez odważnych ludzi. Ogłuszający huk stopniowo przycicha, jezioro wyczerpało swą moc.

Nazajutrz gdy do śniadania dostajemy mleko, zwraca naszą uwagę jeden porcelanowy kubeczek. Oto kolorowane oblicza dwóch majestatów: cesarza niemieckiego Wilhelma II i cesarza austriackiego Franciszka Józefa. Napis "Gott mit uns 1914–1915". Okazuje się, że nadzorca klauzy jako c.k. żołnierz w wojnie światowej otrzymał to ku podniesieniu ducha. Po dłuższej ceremonii zgadza się odsprzedać nam ten kubek. Mam go do dziś, mimo iż stał w palącym się domu podczas Powstania Warszawskiego. Barwy tylko poszarzały w ogniu, a jakiś odłamek wybił w nim dziurę, łącząc dosadnie wspomnienie dwóch wojen światowych. Widma przeszłości, tak zmieniające się w formie, a tak podobne w treści. Cóż dalej kubeczkowi?

I znów dzień cały trwa wędrówka niekończącą się doliną. Zbocza leśne pną się coraz wyżej, dolina zwęża się. Mosty z powrotem stają się szersze i wygodniejsze. Po prostu cały film sprzed paru dni kręci się teraz w odwrotnym kierunku. Od czasu do czasu z drzew zrywa się jakiś ptak wielki i ciężko waląc skrzydłami szybuje dalej.

Wreszcie radosny okrzyk na przedzie. Na stoku nad drogą wielki brązowy naciek, po którym sączy się znana nam już woda. Jakże nam teraz smakuje znowu jej ostry smak. Czujemy się jak starzy kuracjusze Burkutu. Już nas nie razi ślad

siarkowodoru.

Więc jak co dzień południowa przerwa obiadowa na pięknej polanie. Maszynki spirytusowe łagodnie syczą. Odpoczywamy wyciągnięci na wspaniałej trawie. Chłoniemy spokój tej doliny, jej majestatyczny ogrom. I ciszę, której bynajmniej nie zakłóca nieustanny szum potoku. Dwa dni marszu w jedną stronę i dwa dni z powrotem, a wciąż nowe wrażenia. Za każdym zakrętem rzeki otwierają się nowe widoki, nowe szczyty w głębi doliny. Oba zbocza doliny niby jednakowe, a w bocznym oświetleniu grają odmiennie – jak dzień i noc, jak pozytyw i negatyw. Słoneczne zbocze gra wszystkimi odcieniami zieleni, barwami kwiatów i skrzydłami motyli. Cieniste zaś ukazuje nam ostre sylwetki czubków świerków na tle rozjarzonych obłoków, prześwity promieni słonecznych przez ciemną głębię lasu. A poza tym ciemna ściana zieleni tak kontrastowo obramująca słoneczną dal. Właśnie ta dal daje urok dolinie Czeremoszu. Jak przyjemnie jest wiedzieć, że za tym zakrętem bynajmniej nie kończy się droga, jak to często w Beskidach bywa. Dalej będzie drugi zakręt, a za nim trzeci . . . piąty. Coraz nowa dal pociągająca wzrok. Taka wędrówka dolinna to wspaniały odpoczynek po dniach szczytowych.

Znowu Burkut. Schronisko puste. Przez pięć dni pobytu nad Czeremoszami jedynymi spotkanymi turystami byli ci na poprzednim noclegu przed trzema dniami.

Rano okazja. Furka odjeżdża w dół. Ładujemy się, zabierając zapasy wody mineralnej do butelek. Furka dowozi nas przez Szybeny do ujścia potoku Bystrec. Zamierzamy wyzyskać odpoczynek na furze i jednym dniem marszu wrócić na Zaroślak. Idziemy teraz w górę przez długo rozciągniętą wieś Bystrec, doliną biegnącą wzdłuż północnych zboczy Czarnohory. W południe gotujemy obiad w chacie na piecu. Pozwala to nam na ugotowanie ostatnich zapasów ryżu oraz duszenie wybieranych kurek. Tak się tą ucztą objadamy, że długo musimy wypoczywać, zanim ruszymy. Długi, nieustanny wielodniowy marsz robi swoje.

Późnym popołudniem mijamy ostatnie domy i zaczynamy podejście lasem na przełęcz pod Maryszeską. Leniwie idziemy do góry. Wreszcie las karleje, pokazują się kosówki i wychodzimy na Połoninę Maryszeską, położoną na bocznym ramie-

niu, odchodzącym od grzbietu Czarnohory. Dzięki oddaleniu od grani – wspaniały punkt widokowy na cały grzbiet Czarnohory i północne, miejscami urwiste stoki. Zwłaszcza imponująco wygląda stąd Brebenieskuł (2037 m), najwyższy w tej partii. Ostatnie promienie słońca oświetlają skalne urwiska. Łagodne kopyły szczytów różowieją na tle pogodnego nieba, wznosząc się o blisko 500 m nad nami. Harmonia i spokój. Chciałoby się tu zostać. Ale na razie jest to niemożliwe. Wprawdzie na trawie widzimy stopy cegieł, ale to dopiero zapowiedź budowy schroniska narciarskiego.

Płonina już pogrążona jest w cieniu. Przez przełęcz sączy się jeszcze ciepłe światło. Jednak gdy stanęliśmy na niej, zapadał już zmrok. Z nową mapą 1:100 000 w ręku szukamy najkrótszej drogi na Zaroślak. Według mapy biegnie ona po północnym stoku i schodzi wprost na wygodną, znaną nam drogę “pod regłami”, prowadzącą na Zaroślak. W rzeczywistości jednak z przełęczy schodzi tylko droga na północ, w dolinę, wymagająca długiego obchodzenia stoków gór. Droga wprawdzie pewna ale to i niesportowo, i pracowicie. A my chcemy prędej do łóżka.

Więc szukamy krótkiej drogi z mapy. Mijamy jakiś opuszczony drewniany dom ze szczątkami maszyn i wychodzimy na łąki porośnięte bardzo wysoką trawą. Ślad drogi zatracą się, a ciemności coraz większe. Za polaną ciemny bór. Po ciemku nie znajdziemy drogi. Wtedy Ojciec rzuca niespodziewany projekt przyjęty z entuzjazmem:

– *Nocujemy w tej szopie, a rano znajdziemy drogę.*

Szopa okazała się opuszczoną fabryczką olejku, który niegdyś destylowano z kosówki. Tą rabunkową metodą zniszczono w Karpatach Wschodnich ogromne ilości kosodrzewiny. Również wycinano bezkarnie limby dające cenne drewno. Działo się to za c.k. monarchii. Zajęty przez nas budynek nie ma już podłóg i większości okien. Więc kładziemy na ziemi jakieś drzwi i na nich będzie twarde posłanie. Konia wprowadzamy do środka. A jeśli niedźwiedź będzie miał na niego apetyt? Obmyślamy fortele, jak będziemy go straszyć. A przede wszystkim barykadujemy okna.

Na środku pocieszająco świeci niebieski płomień maszynki spirytusowej. Nędzne resztki spirytusu pozwalają każdemu na

łyk herbaty z resztkami cukru i jakimiś okruszynami z dna woczeków. Ta noc była planowana już na Zaroślaku.

Więc głodno, chłodno i twardo. Rozgrzewa nas jedynie emocja na ewentualną wizytę misia. Daleko w dole słychać odgłosy staj pasterskich. Noc mija spokojnie.

Rano chętnie podrywamy się z madejowych łóż. Śniadania nie ma z czego robić. Idziemy się rozgrzać na słońcu. Znowu wchodzimy na mylące łąki, którym Ojciec nadał nazwę "pampasy", bo trawa po pas. Zaczyna się żmudne tropienie drogi. Jest! Idziemy nią, ale coraz więcej trawy. Ślad drogi zupełnie zanika. Ale już nie cofniemy się. Na pewno odnajdzie się w lesie. Tymczasem w lesie nie znajdujemy nic. Przeciwnie, gąszcz utrudnia przejście. Więc przebijamy się bez drogi. Las coraz wyższy. Stok zaczyna nagle opadać coraz stromiej. Zgadza się! To już dolina pod Kozłami. Z górki na pazurki! Stok bardzo stromy ale możliwy. Teraz jednak buntuje się Dmytro. Koń nogi połamie, zwłaszcza że dołączają się jeszcze resztki okopów i przegniłe drewniane bunkry z wojny światowej stanowiące wręcz pułapkę. Ponieważ my nie chcemy już zawracać, umawiamy się, że Hucuł z koniem wrócą na przełęcz i stamtąd wygodną drogą okólną dotrą do Zaroślaka.

Teraz już beztrąsko zsuwamy się stromym lasem paręset metrów w dół. Przekraczamy potok i wreszcie stoimy na drodze. A więc jedną nogą w domu. Można sobie pozwolić na odpoczynek. Trudy za nami. Zamknęła się pętla dróg naszych. Kończy się przygoda.

Gdy tak sobie siedzimy, nagle człap, człap, drogą od Kozłów schodzi Dmytro z konikiem i z dumną miną. Znalazł zejście możliwe dla konia. Więc znów razem posuwamy się wygodną drogą, mijamy lasy, wychodzimy na Połoninę Pożyżewską. Z dala już widać dach botanicznej chatki, poetycznej, choć jest siedzibą nauki. Tu się zaczęły wspólne wędrówki. I tu następuje rozstanie.

Notka biograficzna o autorze

Kazimierz Hempel

Urodził się 4 września 1910 roku w Knocke w Belgii podczas przymusowej emigracji rodziców po rewolucji 1905 roku.

Po powrocie do kraju ukończył gimnazjum im. Księcia Józefa Poniatowskiego w Warszawie. Po odbyciu służby wojskowej rozpoczął studia na Wydziale Chemii Politechniki Warszawskiej, przerwane wybuchem II wojny światowej. Po wojnie rozpoczął pracę w Łodzi przy organizacji Centralnego Laboratorium Celulozowo-Papierniczego i jednocześnie ukończył studia na Politechnice Łódzkiej. W latach 1952 – 1975 pracował w Instytucie Włókien Sztucznych i Syntetycznych.

W 1930 roku został członkiem PTT a następnie PTTK gdzie pełnił szereg funkcji społecznych, między innymi w latach 1956–1977 redaktora naczelnego biuletynu ZW PTTK w Łodzi (obecnie “Wędroownik”).

Jako pierwszy Łodzianin uzyskał uprawnienia Przdownika Turystyki Górskiej (nr 106).

A.W.

**Agnieszka i Jerzy
Montusiewiczowie**

Z wędrówki po Beskidach Wschodnich

Wciąż jeszcze nie mogę ochłonąć z wrażenia i uwierzyć, że to, co nierzeczywiste, stało się faktem. Byłem ponownie w Beskidach Wschodnich! Po blisko dziewięciu latach znów wędrowałem po tych zachwycających górach, prowadząc wraz z Leszkiem Palicą dziesięciosobową grupę kolegów–przewodników ze Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Lublinie.

Pierwsze moje spotkanie z Beskidami Wschodnimi miało miejsce w 1980 roku, gdy jako uczestnik grupy przechodzącej luk Karpat wędrowałem Pasmem Lesistym Bieszczadów, grzbieciem wododziałowym Gorganów, zdobywałem szczyty Pietrosa i Howerli w masywie Czarnohory. Od tamtej pory wciąż wracałem myślą do tych terenów. Pragnąłem gorąco choć raz jeszcze znaleźć się tam, spotkać oko w oko z dzikim pięknem i móc pokazać to wszystko kolegom–przewodnikom, dla których Beskidy Wschodnie były tylko nieuchwytnym, mglistym marzeniem. Rok 1989 przyniósł realizację owej “idee fixe” i w ten sposób ośrodek lubelski, dołączając do warszawskiego, rozpoczął poznanie i eksplorację tych gór.

Muszę zaznaczyć, że nasza wyprawa nie doszłaby prawdopodobnie do skutku, gdyby nie dokonania warszawiaków. To właśnie oni – przemierzając w 1988 roku grzbiety Świdowca i Gorganów – udowodnili, że można i warto próbować. Inicjatywa kolegów z Warszawy, a także rzadko spotykana życzliwość

i chęć podzielenia się najistotniejszymi – bo aktualnymi – informacjami, pomogły nam w zorganizowaniu i przeprowadzeniu wyjazdu (serdeczne dzięki Adamowi Kulewskiemu i Andrzejowi Wielosze).

Niewątpliwie koncepcję obozu zaczerpnęliśmy z wyprawy warszawskiego SKPB, ale szczegółowy program został zmieniony i dostosowany do naszych potrzeb i oczekiwań. Chodziło przy tym szczególnie o to, by zobaczyć miejsca nowe, wzbogacając tym samym wiedzę o górach i spłacając – choć w części – zaciągnięty u innych dług.

Trasa planowanej wędrówki składała się z dwóch części. Pierwszą z nich stanowiła ośmiodniowa pętla, umożliwiająca poznanie połonin Świdowca i gołoborzy Gorganów, drugą – zaś czterodniowe przejście grzbietem Czarnohory z Jasini do doliny Czarnego Czeremoszu.

- Trasa 8-dniowa:

Świdowiec: Jasinie – Bliźnica (1883 m) – Tatulska (1774 m) – Trojaska (1707m) – Tataruka (1710 m) – przeł. Okole (1203 m)

Gorgany: przeł. Okole – Bratkowska Duża (1792 m) – Durnia (1709 m) – przeł. Legionów – Taupiszyrka (1503 m) – połonina Bystra – Sywula Mała (1815 m) i Wielka (1836 m) – połonina Gaworska – dolina Sałatruka – Rafajłowa – dolina Doużyńca – masyw Doboszanki (1752 m) – dolina Zubrynki – masyw Siniaka i Chomiaka – Tatarów.

- Trasa 4-dniowa:

Czarnohora: Jasinie – przełęcz Harmanieska – Howerla (2061 m) – Pop Iwan (2022 m)

Po męczącej, trwającej blisko dwie doby podróży (przez Przemyśl, Lwów i Kołomyję) docieramy wreszcie do Jasini¹ – malowniczej wsi karpackiej, położonej w dolinie Czarnej Cisy. Sięga ona swymi przysiółkami stoków trzech różnych grup górskich: Świdowca, Gorganów i Czarnohory, stanowiąc tym samym

¹dawne węgierskie Kőrösmező

doskonały punkt początkowy dla wędrówek. Pozostawiamy tu część żywności i wyruszamy w góry.

Obładowani prowiantem, który musi wystarczyć na osiem dni (a trzeba zabrać wszystko, nie licząc na możliwość zakupu czegokolwiek poza chlebem), z trudem dźwigamy ponad trzydziesto kilogramowe plecaki. Nasze dwa "damskie rodzyнки" mają dużo lepszy bagaż, ale i one nie bez problemów pokonują rozluźniony, krzywo wiszący linowy mostek, który spotykamy na trasie.

Podążając w górę, mijamy wspaniałą XVIII-to wieczną cerkiew huculską z kostnicą-wieżą i przyległym do niej cmentarzem, odnajdujemy płaj opisany przez Adama Kulewskiego w Gościńcu (nr 1 z 1989 roku) i powoli zdobywamy wysokość. Z każdym krokiem dostrzegamy coś nowego. Mgły nad doliną rozwiewają się, widzimy już w oddali grzbiety Gorganów i Czarnohory. Mijamy pojedyncze gospodarstwa huculskie lokowane tak, by z jednego nie było widać sąsiednich.

Nie są to co prawda słynne grażdy, budowane w kształcie czworoboku i świadczące o zamożności mieszkańców, lecz skromne, kryte gontem chaty. A jednak patrząc na nie, nie mogę oprzeć się wrażeniu płynącej stamtąd siły. Zastanawiam się, ile trudu i samozaparcia wymagało życie w takich warunkach. Jak wielkie musiało być dążenie tutejszego ludu do utrzymania autonomii i intymności, jak silna chęć "bycia na swoim" i samodzielnego zmagania się z przyrodą, by każdy – miał jednoczyć się i grupować w tak trudnych warunkach – szukał dla swego domu miejsca odległego i samotnego.

Zastanawiając się nad tym, mijam ostatnie zabudowania, odległe o 1.5 godz. marszu od centrum miejscowości, leżące na wysokości szczytu Bukowinki (1165 m). Stąd rozciąga się wspaniała panorama gór. W kierunku północnowschodnim dostrzegamy długi grzbiet Siniaka i Chomiaka, na północy widać masyw Steryszory. Gdy spojrzeć na południowy wschód, zachwyca Czarnohora z wybitnymi kulminacjami Pietrosa (2020 m), Pietrosula (1855 m) i Howerli (2061 m) oraz charakterystyczny Szesul (1726 m), leżący w grzbiecie schodzącym łagodnie do doliny Czarnej Cisy. W zasięgu wzroku jest również cel naszej pierwszej wędrówki – podwójny wierzchołek Bliźnicy wraz z kotłami połodowcowymi.

Dość już tych zachwyty, ruszajmy dalej, bo droga mozolna, a czas ucieka. Po przejściu około 12 km i pokonaniu 600 m podejść mijamy turystyczną bazę Dragobrat. Spotykamy tu samochód ciężarowy, transportujący młodzież w dół doliny Świdowca. Uparcie pnąc się w górę, podziwiamy wspaniałe starodrzewy świerkowe, wkraczamy w teren podmokły obficie porośnięty wełnianką i ... “pierwsze straty w ludziach”. Kąpiel jednej z uczestniczek w “borowince” kończy się wprawdzie szczęśliwie, ale o wyglądzie uszkodzonej lepiej nie wspominać. Docieramy do głównej drogi grzbietowej i ... wreszcie biwak. Niezapomniane przeżycie w tych wielkich górach. Pod stopami połonina, tuż obok źródło potoku, gdzieniegdzie jałowce i skarłate świerki, a ponad głową Bliźnica. Kto raz przeżył noc przy ognisku w takim miejscu, ten nigdy jej nie zapomni.

Świdowiec jest zjawiskiem wspaniałym. Powiesz: to tylko połoniny. Tak, ale jakie ogromne. Swą wielkością przytłaczają zupełnie. Główny grzbiet ciągnący się od Jasini do Brustur ma długość blisko 40 km i rzadko kiedy opada poniżej 1600 m n.p.m. Od strony południowej dochodzą do niego trzydziestokilometrowe płąjki (boczne grzbiety) noszące nazwy: Bliźnicki, Hłaskułowcy, Stajkowy i Apecki. Przewyższenie – licząc od doliny Czarnej Cisy na wysokości Jasini – wynosi ponad 1200 m. Dodatkowym urozmaiceniem krajobrazu są kotły polodowcowe, o stromych, porośniętych jałowcem i olszą kosą ścianach, a także wypłaszczenia moren dennych i połyskujące gdzieniegdzie lustra jezior (największe znajduje się pod Todiaską, w kotle Gerezeskim). Całości obrazu dopełnia wciąż żywe pasterstwo. Łatwo nawiądziesz rozmowę z “czobanem” prowadzącym kierdel owiec czy stado bydła. Doznasz wspaniałego uczucia, gdy pasterz zagra na fujarce prostą melodię, a góry odpowiedzą mu muzyką. Nie musisz obawiać się psów pasterskich, są wyjątkowo spokojne i przyjazne. Jesteś bezpieczny i szczęśliwy wśród prostych ludzi i wspaniałej przyrody.

Nowy dzień przynosi nowe wrażenia. Zdobywamy oba wierzchołki Bliźnicy (1883 m, 1878 m), podziwiając skalno-trawiaste urwiska kotła Dragobrackiego i Trufanieckiego. Przez Dragobrat (1726 m) schodzimy na siodło (1553 m), by następnie, po strawersowaniu Stoha (1707 m) dotrzeć do krawędzi największego świdowieckiego kotła Kraczunieskiego o 500-metrowych

ścianach i 3-kilometrowej rozpiętości górnych krawędzi. Podążając płajem przechodzimy poniżej Tatulskiej (1774 m), Worozeska (1735 m), Szerokiego Wirtupu (1766 m) i wchodzimy na Trojaszkę (1707 m). Pod szczytem Tataruki (1710 m) znajdujemy dobre miejsce biwakowe na trawiastym tarasie.

Kolejny ranek to niestety pożegnanie ze Świdowcem. Przez Tatarukę i Połoninę Rypkę schodzimy stromo w dół do przełęczy Okole (1203 m). Tu zaczynają się Gorgany – najrozleglejsza i chyba najtrudniejsza grupa Beskidów Wschodnich, rozciągająca się od Przełęczy Wyszowskiej (933 m) na zachodzie aż po Przełęcz Jabłonicką (930 m) na wschodzie. Długość pasma w linii prostej wynosi około 60 km, a jego szerokość waha się od 30 do 35 km. Tuż za przełęczą spotykamy grupę dorodnych limb. To pierwszy namacalny dowód, że jesteśmy w Gorganach – górach będących światem niepowtarzalnym i jedynym w swoim rodzaju. Światem pełnym kosówki i kamiennych gołoborzy (gorganów). Napotkasz tu ostoje limby i niedostępne szczyty, porośnięte w dolnych partiach prastarym lasem, ale także urocze polany zwane połoninami. Przystaniesz zaskoczony słysząc nagły tętent kopyt i dostrzegając stado koni, wybiegające właśnie z lasu. Zachłyśniesz się wolnością.

Świata tego nie da się opisać. Dla polskiego turysty pozostaje wciąż nieznaną krainą. Dopiero wtedy, gdy sam przeżyjesz chwile zmagania z górami, własną słabością i naturą, pojmiesz, co znaczy być w Gorganach. By to zrozumieć, trzeba przewędrować je z 30-kilogramowym plecakiem w spiekocie słońca, często bez wody (na gołoborzu jej nie ma, a potoki płyną głęboko w dolinach), doświadczyć przedzierania się przez kosówkę, gdy siąpi deszcz, a nogi ślizgają się nieustannie po mokrych konarach i obrośniętych mchem kamieniach. By pojąć te góry, na własnej skórze doświadczyć trzeba codziennego pokonywania przewyższeń rzędu 1000 m w trudnym terenie, często bez ścieżki, po błotnistej mazi czy korytem potoku, czyniąc to wszystko ze świadomością, że ubytków żywności nie da się łatwo uzupełnić. Tu świętością jest płaj, droga czy istniejąca ścieżka. Bez niej stajesz się bezradny wobec setek hektarów kosodrzewiny i kilometrów gołoborzy. W Gorganach szybko uczysz się pokory wobec sił natury i tego co ona stworzyła.

Zatrzymaliśmy się, zamyślili Ruszajmy jednak dalej.

Z przełęczy Okole droga wiedzie na Bratkowską Dużą (1792 m). Początkowo wspinamy się wyraźną ścieżką. Gdy niknie gdzieś w gęstwinie – zmuszeni jesteśmy chaszczować. W końcu docieramy do wygodnego płaju prowadzącego z doliny Czarnej Cisy. Na szczyt wchodzimy bez ścieżki, trawiastymi stokami. Odnajdujemy tu stary słupek graniczny, polsko–czeskosłowacki. Znajomy motyw towarzyszyć nam będzie przez kilka następnych dni, w czasie wędrówki dawną ścieżką graniczną. Żegnamy Bratkowską i trawersując Gropę (1763 m) rozpoczynamy podejście na Durnię (1709 m).

Po drodze mijamy pozostałości dawnej linii umocnień – transeje i okopy z okresu I wojny światowej. W pobliżu nich pasą się swobodnie dwa stada wspaniałych koni. Na szczycie ze zdziwieniem odkrywamy tablicę, poświęconą kobiecie, porwanej przez lawinę w marcu tego roku. Chwila zadumy nad losem ludzkim.

Odpočzywamy, podziwiamy wspaniałą panoramę, by w końcu rozpocząć zejście stromą “ścianką” w kierunku przełęczy Pantyrskiej (1065 m).² Stanowi ona najprawdopodobniej najniższy punkt w grzbiecie wododziałowym Gorganów. Nie dziwi więc, że jest niesamowicie podmokła i nie nadaje się zupełnie do przeprowadzenia przez nią drogi. Podobnie ocenili sytuację oficerowie Legionów w 1915 roku, podejmując decyzję o poprowadzeniu traktu przez Rogodze Wlk. Zbliży się wieczór i czas na spoczynek. Biwakujemy na małej polance w mrocznym lesie.

Słońce budzi nas wcześniej. Pantyr (1229 m) niedaleko, więc w dobrych humorach wyruszamy, by po kilkunastu minutach osiągnąć szczyt. Wspaniale zachowany słupek graniczny z polskim orłem po jednej, a czechosłowackim lwem po drugiej stronie stanowi świetny obiekt dla fotografów. Nie zatrzymuje nas jednak na długo, bo niepokój i wzruszenie ponaglają do dalszego marszu. Wydaje się, że Przełęcz Legionów jest tuż, tuż, jeszcze chwila i znajdziemy się w tym historycznym miejscu. Tymczasem droga dłuży się niemiłosiernie, wraz z nią mozolnie wznosimy się i opadamy. Wreszcie dotarliśmy. Rozległa, kwitnąca łąka, pachnąca w pełnym słońcu. Na środku ziemno–kamienny kopiec, krzyż i tablica ze znanym Polakom czterowierszem:

²patrz artykuł pt. “Przełęcz Legionów, ...”

*Młdzieży polska, patrz na ten krzyż
Legiony Polskie dźwignęły go wzwyż
Przechodząc góry, lasy i wały
Do Ciebie Polsko i dla Twej chwały*

Brak tylko starego świerka rosnącego u podstawy kopca, ktoś wyciął go niedawno, pozostawiając jedynie fragment pnia (podobno świerk był już suchy). Stoimy wzruszeni. Każdy marzył, by dotrzeć tutaj. Świadomość, że się udało – onieśmiela. Za nami w zadziwieniu przystanąły konie, nie przyzwyczajone widać do spotkań z gośćmi w tym zakątku, zaskoczone obecnością “intruzów”.

Ogłaszamy dłuższy postój. Spożywamy posiłek, fotografujemy. Z zalem opuszczamy to miejsce, gdy trzeba ruszyć dalej. Przed nami piętrzy się 10-kilometrowy grzbiet Taupiszyrki (1503 m). W miarę zdobywania wysokości wychodzimy ponad granicę lasu, wkraczając w pas kosodrzewiny, limb i kamieni. Korzystamy wprawdzie z dawnej drogi granicznej, ale przez 50 lat kosówka rozrosła się, wyłożyła na trakt, zmuszając nas tym samym do nieustannej walki z gałęziami. Na grani wspaniała widoczność, ale panoramę oglądać można dopiero po wdrapaniu się na słupek graniczny. Korzystając z tego “postumentu” podziwiamy podwójny szczyt Sywuli (1815 m, 1836 m), Bojaryn (1679) z groźnym gołoborzem, masyw Doboszanki (1754 m), a także Gorgan, Popadę, Durnię Zejście z Taupiszyrki to “droga przez mękę”. Kosówka czepia się wszystkiego, smaga po twarzy, zatrzymuje plecak. Wszyscy – choć oblepieni żywicą, poobijani, zmęczeni i wściekli, błogosławią jednak pogodę. Strach pomyśleć, jak wyglądalibyśmy po przejściu tej trasy w czasie deszczu. Każdy marzy już o rozbiciu namiotu i odpoczynku, ale gdzie tam! Przed nami kilka potężnych wierzchołków, które musimy pokonać zanim dotrzemy na Połonę Bystrą. Droga niesłychanie męcząca, co chwilę spadamy stromo w dół, by za moment mozolnie odrabiać utraconą wysokość. Pod wieczór zmęczeni docieramy na miejsce.

Połonina Bystra jest wspaniałym “polem” biwakowym i wypadowym. Tu właśnie bierze swój początek Bystrzyca Sołotwińska. Rozległa polana nad strumieniem zachęca do pozostania na dłużej. To pierwsze miejsce w Gorganach, w którym spo-



Przełęcz Legionów. Fot. Maciej Wiśniewski (1988 r.)



↑ Ruiny na Pop Iwanie
Fot. Andrzej Wielocha (1989 r.)



← Obserwatorium na Pop Iwanie
Fot. Stanisław Słowik (1939 r.)



tykami turystów. Wędrują podobnie jak my: w grupach lub całymi rodzinami, zaopatrzeni w sprzęt biwakowy. Są serdeczni i gościnni, chętnie nawiązują rozmowę. Polana jest domem dla wszystkich. Dla kierdli owiec z ich wołczarzami, dla biegających swobodnie stad koni i dla nas – turystów.

Rano wyruszamy w kierunku Sywuli. Ścieżka wygodna i dobrze przedeptana prowadzi obok ruin dawnego polskiego schroniska. Wspinamy się powoli, “na lekko”, a więc bez zmęczenia. Najwyższy wierzchołek Gorganów (Sywula Wlk.) okazuje się być łatwy technicznie, a widok ze szczytu – wspaniały. Jak okiem sięgnąć, wszędzie góry. Widzimy trasę całej naszej wędrówki: tej, która już za nami, ale również tej, która jeszcze nas czeka. Na wierzchołku siedzimy długo, usiłując utrwalić w pamięci obraz uroczej krainy. W 1980 roku, gdy wędrowałem po Gorganach po raz pierwszy, nie dane mi było zobaczyć choćby jednej “górkę”, ze względu na fatalną pogodę, mgły i nieustannie padające deszcze. Tym większą radością jest dla mnie dzisiejszy dzień – dar losu.

Pełni wrażeń szybko schodzimy do obozowiska. Tutaj spożywamy krótki posiłek, zwijamy namioty – po czym, korzystając z wygodnego plaży, ruszamy w kierunku Rafajłowej. Droga prowadzi skrajem wielkiego urwiska zwanego tu Piekłem. Podobne, choć mniej efektowne, spotykamy nieco dalej – na Heczurze. Mijamy Połoniny Korotkańską i Gaworską, by pod wieczór dotrzeć na grzbiet Krukłeczki. W grupie pojawia się wyczuwalne podniecenie. Jutro, po raz pierwszy od kilku dni, opuścimy góry i zejdziemy do Rafajłowej. Nikt z nas nie wie, jak zostaniemy potraktowani przez miejscową ludność.

Zejsście doliną Sałatruka jest mozolne i mało efektowne. Wędrujemy przez tereny, gdzie nieprawidłowo prowadzony wyrąb lasów spowodował całkowitą dewastację środowiska. Jakże przygnębiająco działa widok dróg, rozjeżdżonych gąsienicami i kołami ciężkich maszyn do zrywki, wszechobecna błotnista maź, sterty gałęzi i pniaków czy odór gnijącego igliwia.

W Rafajłowej przystajemy tylko na chwilę, by obejrzeć huculską cerkiew. Jest odnowiona i świeżo pomalowana, teren wokół starannie uporządkowano. Całość robi wrażenie użytkowanego obiektu sakralnego. Mamy ochotę na świeży chleb, ale przed drzwiami sklepu kłębi się tłum. Nie warto marnować czasu.

Tym bardziej, że w plecakach mamy pod dostatkiem żywności na dalsze dni. Długo idziemy wiejską drogą w skwarze południa. Wieś wygląda jak wyludniona. Być może większość jej mieszkańców o tej porze pracuje w polu lub oczekuje pod sklepem na dostawę towaru. Od czasu do czasu mija nas, prowadząc jazgotliwą maszynę pamiętającą czasy II wojny światowej, motocyklista z helmfonem dziarsko wsadzonym na głowę.

U wylotu wsi spotykamy szlaban (na szczęście otwarty). Mijamy go szybko, by po chwili skręcić w dolinę. Jej górne partie łączą się z Połoniną Poleńską. To jedyna rozsądna droga dotarcia do masywu Doboszanki. Początkowo podążamy ścieżką, przechodząc z jednego brzegu potoku na drugi. Gdy droga zmienia kierunek – trawersując stok, musimy z niej zrezygnować. Zaczyna się mozolna i ciężka wspinaczka bez ścieżki, po stromym stoku, w dzikim lesie. Mamy jednak trochę szczęścia, bo po godzinie tej “mordęgi” odnajdujemy wąski trakt prowadzący na połoninę. Teraz już szybko docieramy do celu. Na polanie stoi jeszcze stary szałas. Jest i mały boczny grzbiecik – jedyne płaskie miejsce pozwalające na rozbicie namiotów. Od strony północnej góruje nad połoniną strome gołoborze Wyżnich Skalek (1579 m), rzucając o zachodzie groźne cienie na obozowisko. Zmęczeni, siedząc przy ognisku w oczekiwaniu “wyżerki”, słyszymy nagle dziwny odgłos. I oto na polanę wbiega stado koni. Zauważyły nas, stanęły jak wryte, obserwując pilnie. My też jesteśmy zaskoczeni. Po chwili obie strony dochodzą do siebie i podejmują pierwsze próby porozumienia. Pod wieczór przyjaźń zostaje przypieczętowana. Konie interesują się bardzo naszym pożywieniem, pozują do zdjęć, pozwalają nawet na poufałości: głaskanie i chwytanie za grzywy. W tej sytuacji szybko rodzi się koncepcja użycia ich jako zwierząt jucznych. Niestety z braku odpowiedniego sprzętu ten wspaniały pomysł upada.

Następny dzień rozpoczyna serię niespodziewanych zmagień z Beskidami Wschodnimi. Dotychczasowe przejścia okazały się być tylko preludium. Już do końca naszego pobytu zmuszeni będziemy prowadzić walkę z górami nie tylko o zdobywanie szczytów, ale przede wszystkim o szczęśliwe wyrwanie się z ich kleszczowego uścisku. Odcujemy na własnej skórze, że tylko najmocniejsi mogą mierzyć się z tą potęgą, przed którą zawsze trzeba czuć respekt.

Płaj napotkany na Połoninie Poleńskiej prowadzi nas w rejon Steryszorki (1567 m). Tu jednak “rozmydla się” w wiele równoległych ścieżek. Zmuszeni do wędrówki przez dziki las, po kamieniach porośniętych mchami, trawami i paprociami, potykając się i próbując nieustannie odnaleźć właściwą drogę, docieramy w końcu na siodełko (około 1450 m). Tu kończą się wszystkie ścieżki. Przed nami setki hektarów kosodrzewiny na pobliskim Pikunie (1627 m). Konsternacja – nie wiadomo co robić dalej. Jedynym rozwiązaniem umożliwiającym przegląd sytuacji, wydaje się być wejście na roślą limbę. Muszę to uczynić, by zdecydować o wyborze wariantu dojścia na Doboszanek. Ostatecznie rozpoczynamy trawersowanie Pikuna po stronie południowej. W morderczej wędrówce po bardzo stromym stoku (gdzie paprocie sięgają ramion), kamienie obrosnięte mchem i trawą, przeplecione korzeniami limb i świerków nieustannie utrudniają właściwe stawianie nóg. Idziemy poniżej granicy kosodrzewiny, wznosząc się nieznacznie. W końcu jednak drogę zastępuje nam łań kosówki. Musimy zejść stromo w dół, gdzie prześwituje język gołoborza. To jedyna szansa szybkiego wejścia na główny grzbiet. Po osuwającym się piargu wchodzimy powoli, ale sukces wydaje się bliski. Niestety, z grzbietu nadal nie widać głównego wierzchołka. Wszyscy są bardzo zmęczeni, upał daje się we znaki, a wody w bidonach coraz mniej (nigdzie nie można jej znaleźć).

Ruszamy dalej, idąc małymi polankami, na których nogi zapadają się w mchu aż po łydki, piargiem – osuwającym się spod stóp przy każdym niemal kroku, chaszczujemy przez kosówkę. Docieramy w końcu na wierzchołek sąsiadujący z Doboszaneką. Widok niespotykany. Dookoła morze kamieni i żadnej ścieżki. Czeka nas półtorakilometrowy marsz gołoborzem – najpierw lekko w dół, potem mozolnie na szczyt. Wreszcie – docieramy. Pogoda zaczyna się psuć, wyraźnie słychać odgłosy nadciągającej burzy. Odpoczynek na szczycie ograniczamy do minimum. Przed nami nowy problem – jak szybko i bezpiecznie zejść w dolinę. Decydujemy się na trawers gołoborzem po stronie południowej. Omijając wyspy kosodrzewiny z trudem schodzimy na trawiasty wierzchołek 1530 m. Stok miejscami bardzo stromy, nogi zjeżdżają wraz z kamieniami, plecaki dociskają niemiłosiernie. W końcu docieramy szczęśliwie. Najgorsze za nami. Dalej

schodzimy stromą ścieżką w dół do doliny Zubrynki. Jeszcze tylko rzut oka na masyw Siniaka i obawa, czy jutro damy radę (wygląda zupełnie jak Doboszanka). W dolinie, u wylotu ścieżki, napotykamy obozowisko turystów. Pozdrawiamy ich serdecznie, ale idziemy dalej, by dotrzeć bliżej Siniaka. Ściga nas burza, trzeba więc podjąć szybką decyzję o miejscu na biwak. Namioty rozbijamy w ostatniej chwili, przy padającym już deszczu, w bocznej dolince wypływającej spod Małego Gorganu (1601 m).

Całą noc leje, w dolinie mgła i fatalna widoczność. Rano wiemy już, że wejście na Siniak będzie niemożliwe. Decydujemy się na strawersowanie masywu po stronie północnej. Szeroką drogą, w strasznej duchocie, mijając zagubiony szałas pasterski na skraju lasu, docieramy na grzbiecik pod Małym Gorganem. Tu znajdujemy dogodną ścieżkę trawersową, biegnącą wśród łąnów kosówki, a dalej przez dziewiczy gorgański las. Niestety, w pewnym momencie ścieżka niknie gdzieś w gęstwinie i znów musimy chaszczować. To najtrudniejsze chwile naszej wyprawy, gdy z ciężkimi “worami” trzeba przedzierać się przez nieprzyjazny las albo gołoborze z kosówką. Wreszcie, zmęczeni odnajdujemy właściwą drogę prowadzącą na Chomiaków – rozległą przełęcz między Siniakiem (1666 m) i Chomiakiem (1540 m). Umordowani i kompletnie przemoczeni (cały dzień padało) schodzimy do doliny potoku Wersyniak. U jej wylotu rozbijamy namioty. Pod wieczór pogoda ustala się, jest pochmurno, ale nie pada. To jakaś nadzieja na jutro.

Rano szybkim marszem przez dolinę Prutca Jabłonickiego docieramy na stację kolejową w Tatarowie. Po drodze mijamy liczne namioty nad wodą i na polach biwakowych. Jeszcze tylko chwila zachwyty przy huculskiej cerkwi – i już siedzimy w pociągu wiozącym nas ponownie do Jasini.

W Jasini krótki postój. Odbieramy zdeponowaną żywność, wykupujemy w sklepie cały zapas chleba. Zaopatrujemy się również w słodycze, dżemy i soki, po czym ruszamy w Czarnohorę.

Czarnohora to najwyższe pasmo górskie w Beskidach i jedyne przekraczające swą wysokością 2000 m na obszarze od Tatr po Alpy Rodniańskie. Ciągnie się ono od doliny Czarnej Cisy na zachodzie po dolinę Białej Cisy na południu i dolinę Czernego Czeremoszu na wschodzie, granicząc od północy z Beskidem

Huculskim. Pasma to charakteryzuje się znacznymi przewyższeniami, ponad dolinę Czarnej Cisy wznosi się na wysokość prawie 1400 m. Grzbiet właściwy posiada lekko pofałdowaną linię. Północne stoki Czarnohory obfitują w kotły polodowcowe. Lasy dochodzą do wysokości około 1400 m, poniżej ciągnie się pasmo połonin. Rzadko spotkać tu można kosodrzewinę czy karłowate świerki.

Powoli wspinamy się na grzbiet Łopusznej, by następnie – korzystając ze starej drogi myśliwskiej biegnącej dokładnie po jednej poziomicy – trawersować Szesę (1560 m) i Pietrosula (1855 m). Ścieżka bardzo atrakcyjna, niedawno odnowiona, spotykamy kilkadziesiąt nowych mostków i kładek wykonanych z długich, poprzecinanych wzdłuż bali. Trasa prowadzi przez młodnik, stary las, czasami przez mokradła. Trawersuje strome stoki, przecina jary. Niekiedy wychodzi na polany, gdzie stoją jeszcze stare szałaszy. Jediną jej wadą jest to, że biegnie stosunkowo nisko (około 1050 m). Wszystkie “wywijasy” wydłużają oczywiście odcinek do przebycia. Wreszcie docieramy do Kolonczeskiego Płaju i osiągamy wysokość 1300 m. Nie da się ukryć, że uczestnicy mają już dość. Plecaki znowu ciężkie, a w nogach ponad 600 m podejść i 23 km przebytej drogi. Biwakujemy w lesie na małym wypłaszczeniu. Wieczorem – przykra niespodzianka. Ktoś krąży wokół obozowiska strzelając z korkowca czy innej broni. Jesteśmy zdezorientowani i zdenewrowani. Nie widzimy “napastnika”, a odgłosy wystrzałów spotęgowane przez echo niepokoją. Dopiero padający deszcz zmusza “rewolwerowca” do oddalenia się w nieznanym kierunku. Zapada błoga cisza, przerywana tylko nieustannym szumem spadających kropel. Leje całą noc.

Ranek wstaje mglisty, ale bez opadów. Wyruszamy więc w kierunku wymarzonej Howerli. Trawersując Pietrosula (2020 m) wychodzimy na Przełęcz Harmanieską. Stąd znanym mi już płajem, podążamy w kierunku masywu “Królowej Beskidów” i wkraczamy w obszar Czarnohorskiego Parku Narodowego. Opuściliśmy płaj prowadzący na Połoninę Breskulską i pnąc się w górę na wysokość około 1800 m odnajdujemy ścieżkę wychodzącą na główny grzbiet. Na przełęczy pod szczytem jesteśmy późno. Tymczasem pogoda załamuje się zupełnie. Pozostawiamy plecaki i w strugach deszczu wspinamy się na

Howerlę (2061 m) – najwyższy szczyt Beskidów Wschodnich. Na płaskim wierzchołku stajemy o szóstej po południu. Powinna być radość, bo oto marzenie wielu spełniło się. Nie ma jednak czasu na sentymenty. Kilka pamiątkowych zdjęć, przymocowanie polskiego proporczyka (jako dowodu naszej obecności), “horka” czekolada i szybko zbiegamy w dół.

Dalsze plany “wzięty w łeb”. Deszcz, mgła i wzmagający się chłodny wiatr uniemożliwiają dalszy marsz grzbietem czarnoohorskim. Biwakujemy pod szczytem na wysokości słupka nr 39/2. Mamy kłopoty z rozstawieniem “Haliczy”. Wreszcie udaje nam się rozbić tropiki, podczepiając później właściwe namioty. Wodę na herbatę łapiemy w zagłębieniach tropików. Teraz naprawdę przydają się prymusy. Zmęczeni, zziębnięci i mokrzy kładziemy się spać z nadzieją, że może pogoda popuści. Całą noc wiatr wali w tropiki, nieomal wbija nas w trawę, deszcz wzmagają się z każdą chwilą. Rano znacznie spada temperatura. Pada deszcz ze śniegiem. Już wiemy, że nie ma innego wyjścia – tylko odwrót. Szybkie śniadanie w namiotach, pakowanie plecaków, zwijanie obozowiska i ruszamy w dół. Zanim osłonił nas grzbiet, ręce zgrabiwały zupełnie, a wiatr odebrał resztkę sił do działania. Odszukujemy znajomą ścieżkę i brodząc po kostki w wodzie szybko schodzimy do Przełęczy Harmanieskiej. Na otwartych, niczym nie osłoniętych przestrzeniach wiatr targa nami jak chorągiewkami. Po kilku godzinach docieramy do osiedla szałasów pasterskich pod Pietrosem. Po kostki w błocie i gnojowicy podchodzimy do jednej z góralek. Po chwili rozmowy gospodyni zgadza się na udostępnienie nam opuszczonego szałas. To prawdziwe błogosławieństwo dla grupy. Wprawdzie schronienie ma niewielkie rozmiary, ale jest suche, z paleniskiem, stołem i przyrzami. Ściągamy drzewo, rąbiemy je pożyczoną potężną siekierą i rozpalamy ogień. Gotujemy, suszymy rzeczy, a przy okazji czujemy się kompletnie uwędzeni. Wieczorem mamy nieoczekiwaną wizytę. Zjawia się strażnik Parku z dubeltówką na ramieniu. Napięcie szybko mija, bo gość jest życzliwy i zainteresowany naszym losem.

Rano, wypoczęci i wysuszeni, oddając góralkom resztę niepotrzebnego nam jedzenia, opuszczamy szałas. Jeszcze tylko rzut oka na Howerlę, która zechciała łaskawie na moment wyłonić się z chmur, kilka zdjęć i wracamy do Jasini. Tym razem

schodzimy dolinę Łopusznej, bo to droga nowa, a poza tym krótsza i łatwiejsza.

Wiemy już – to koniec naszej wędrówki. Trochę żal, że pogoda pokrzyżowała plany i Czarnohora obroniła się przed nami. Jest jednak i powód do radości, bo przecież pokonaliśmy Howerlę. Mamy nadzieję, że następnym razem uda się zobaczyć więcej. Przecież wszystko jeszcze przed nami.

Wracamy pociągiem do Kołomyi, spokojnie obserwując przez okno (zawsze zamknięte na zimę) mijane wiadukty, tunele, domy, cerkwie. Podziwiamy przełom Prutu, dolinki i ukwiecone polany. I tylko szkoda, że tak szybko minęło 12 dni wędrówki po górach tajemniczych i nieznanym.

Andrzej Wielocha

Sprawozdanie z wycieczki w Gorgany i Czarnohorę odbytej w sierpniu 1989 roku

Komisja Wydawnicza SKPB zorganizowała w okresie od 14 do 29 sierpnia 1989 roku wycieczkę turystyczno-krajoznawczą w Gorgany i Czarnohorę. Kierownikiem wycieczki był Adam Kulewski, uczestnikami Irena Charysz, Roman Werdon, Piotr Michnol, Piotr Janko, Józef Wróblewski, Paweł Luboński, Juliusz Marszałek, Zygmunt Rykiert, Mariusz Birski i autor niniejszego sprawozdania. Zaopatrzeni w sprzęt biwakowy, przedwojenne mapy WIG 1:100 000 (tzw. setki), kopię przewodnika Gąsiorowskiego oraz wikt na całe dwa tygodnie wyruszyliśmy pociągiem do Przemyśla. Granicę przejechaliśmy autobusem relacji Przemyśl – Lwów. Ze Lwowa zaś nocnym pociągiem z przesiadką w Kołomyi dotarliśmy do Tatarowa.

dzień 1

15.08.1989

Do Tatarowa przyjeżdżamy około godziny 9 rano. Stylowa, mocno jednak zaniedbana stacja kolejowa staje się w krótkim czasie naszym magazynem, bowiem przepakowujemy żywność.

Tu na dworcu zostawimy 2/3 zapasów w depozycie na drugą część naszej wędrówki. Depozyt zajmuje znaczną część dworcowej kasy biletowej, ale wyrozumiała pani kasjerka zdaje się tego nie zauważać. Nasze plecaki natomiast zdecydowanie straciły na wadze. W trakcie przepakowania robimy krótki przegląd okolicy. W centrum Tatarowa, a właściwie Kremenców, bo tak brzmi oficjalna nazwa miejscowości (Tatarów to obecnie tylko stacja kolejowa) odnajdujemy malowniczą cerkiewkę i kilka wille, pozostałość przedwojennego letniska. Zadbana, kryta gontem cerkiewka wraz ze stojącą obok dzwonnica i otaczającym je cmentarzem tworzy bardzo malowniczą całość.

Wreszcie koniec przepakowań – ruszamy. Idziemy drogą w kierunku na Jabłonów. Przekraczamy wiadukt nad torami kolejowymi, które wzdłuż Prutu biegną dalej do Worochty. Za zabudowaniami nadleśnictwa, już w dolinie Prutca Jabłoniciego, odnajdujemy odchodzący w prawo od szosy, stromym trawersem w górę, stary płaj (oznaczony na WIG-owskiej setce – “Mikuliczyn”). Płajem tym, kilkoma długimi zakosami wychodzimy na grzbiet Baszczyнки. Tu pozostawiamy go i ruszamy wprost grzbietem. Zanikającą co chwila ścieżynką, miejscami w gęstym lesie, miejscami po pojawiającym się coraz częściej gorganie, docieramy wreszcie na szczyt Hrebli (1256 m). Po dwóch nocach spędzonych w pociągach zmęczenie daje się mocno we znaki. Jednak świadomość, że wszystkie problemy są już za nami, i że wreszcie jesteśmy w górach, dodaje sił. Długi wąski, grzbiet Hrebli nie oferuje zbyt rozległych widoków, daje jednak oryginalny wgląd w przewijające się u jej podnóża doliny Prutu i Zeńca. W wielu miejscach grzbiet porastają grupy młodych limb.

Idziemy dalej w kierunku widocznego przed nami jak na dłoni stożka Chomiaka (1540 m). Na szczyt jednak nie wchodzimy. Tuż poniżej granicy lasu, na skraju połoniny Baranie spotykamy podchodzącą z lewej strony z doliny potoku Weregimskiego drogę, która trawersując kopułę szczytową Chomiaka wyprowadza nas na Połoninę Chomiaków. Zajmuje ona rozległe siodło między Chomiakiem a Siniakiem. Porośnięta wysoką, niespasioną trawą, jest wymarzone miejsce na biwak. Spotykamy tu biwakujących turystów ukraińskich z Tarnopola i Czerniowców. Studenci z Uniwersytetu Czerniowieckiego wędrują podobną do

naszej trasą, mają zamiar między innymi przejść grzbiet Czarnohory od Howerli po Pop Iwana. Rozmawiamy o sytuacji na Ukrainie i o sprawach polsko-ukraińskich. Na pożegnanie przypinają mi do plecaka znaczek swojego klubu i żółtoniebieską wstążkę. Życzymy im powodzenia w bliższych i dalszych planach.

Na południe od połoniny Chomiaków odnajdujemy oddzieloną od niej wąskim pasem lasu polanę z fundamentami przedwojennego schroniska PTT. Nosiło ono imię Mieczysława Orłowicza.

dzień 2

16.08.1989

Rano szybki wypad na szczyt Chomiaka i ruszamy w dalszą drogę. Najpierw marsz po kolana w trawie przez całą długość połoniny Chomiaków. Na jej skraju wchodzimy w piękny smrekowy las, by przez dwie niewielkie kulminacje wyjść ponad jego granicę w królestwo kosówki i gorganu. Grzbiet Siniaka, rozległy i płaski, z bliska w niczym nie przypomina znanej z przedwojennych pocztówek strzelistej piramidy. Gdyby nie niewielki triangul, trudno byłoby odnaleźć właściwy wierzchołek Siniaka (1666 m), ukryty pomiędzy ogromnymi polami kosówki i porytego transejami gorganu. Widok rozległy, jednak mała przejrzystość powietrza ogranicza go do najbliższego otoczenia. Na północnywschód rozległy wał Jawornika, na zachód imponująca grupa Doboszanki, na południu za łagodnymi grzbietami Douhej i Płoski rysuje się dominujący nad nimi grzbiet Czarnej Połoniny. Na południowym zachodzie mającą w dali wierzchołki Pietrosa i Howerli.

Grzbiet Siniaka w kierunku zachodnim opada na niewielką przełęcz, by ponownie wystrzelić w górę idealną piramidą Małego Gorganu (1600 m). Jego stoki opadające na wszystkie strony pod jednakowym, bardzo ostrym kątem, pokryte są w całości ruchomymi głazami gorganu. Nic więc dziwnego, że u niektórych z nas pojawiła się wątpliwość, czy z tego da się w ogóle zejść. Jednak się dało. Mocno spoceni, z powykręcanyimi w kostkach nogami docieramy jednak szczęśliwie na Babiny Pohar

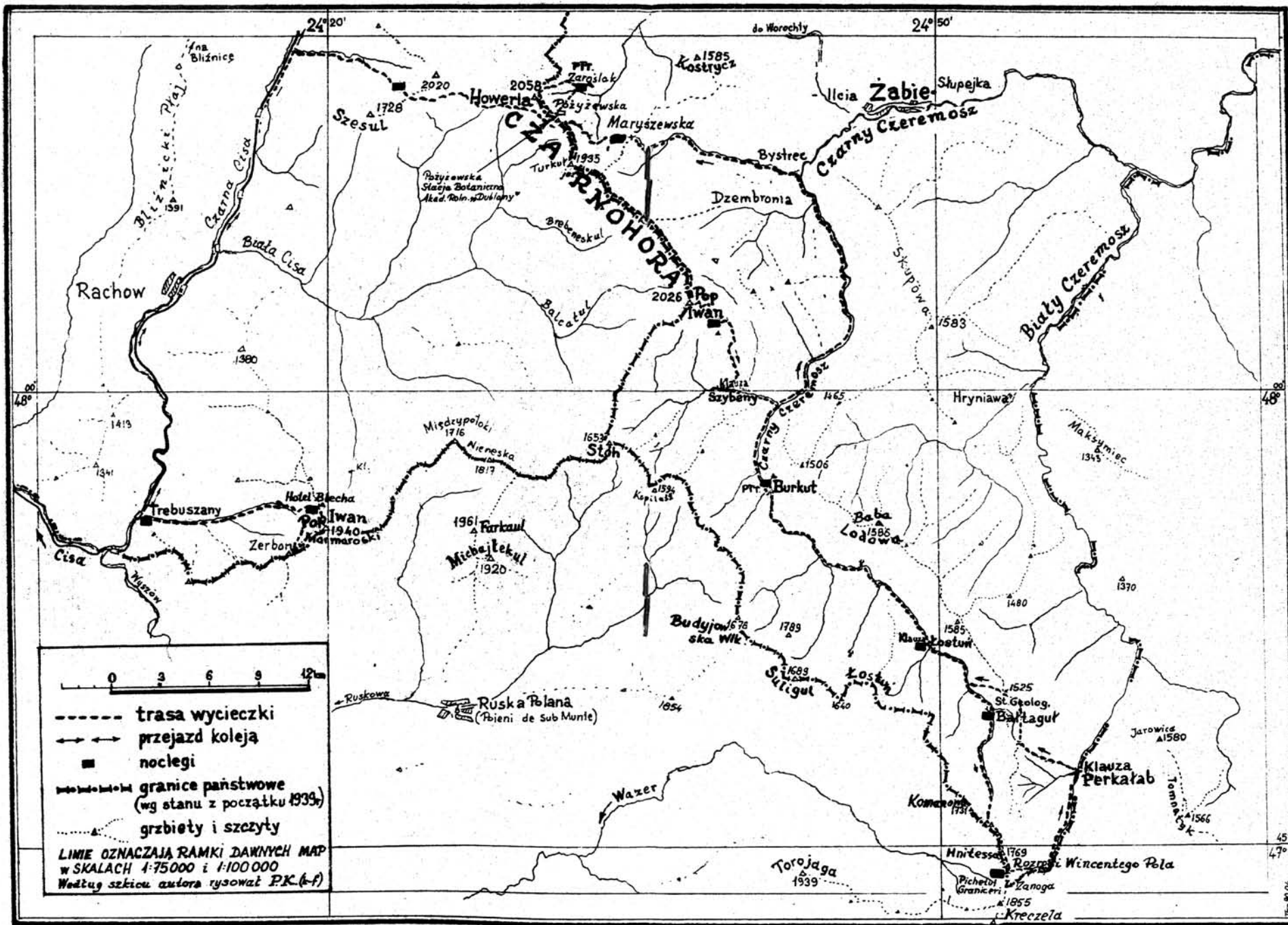
(1451 m). Tu w pobliżu staj pasterskiej robimy odpoczynek.

Z Babinego Poharu przed wojną schodził szlak wprost w dolinę Zubrynki. Niestety nie udaje się nam go odnaleźć. Idziemy więc dalej grzbietem w kierunku na Połomy, szukając po drodze możliwości zejścia w dolinę Zubrynki. Grzbiet z początku opada stromo, by następnie przybrać postać połogiego łuku, urozmaiconego malowniczymi polanami, porośniętymi sięgającymi wyżej pasa złotymi trawami. Stara poręba staje się dobrą okazją do zejścia w dolinę. Jej wnętrze kryje jednak niebezpieczną zasadzkę w postaci wielkiej obfitości dojrziałych malin. Opóźnia to znakomicie tempo naszego marszu. W końcu jednak docieramy do biegnącej dnem doliny gruntowej drogi, mniej więcej w tym rejonie, gdzie przed wojną stało schronisko. Teraz tam stoją jakieś zabudowania, pierwotnie przeznaczone dla ludzi, obecnie straszliwie zdewastowane pełnią rolę obór dla bydła. Mijamy odchodzącą w prawo drogę na Połoninę Niżną. Po dobiegających stamtąd dźwiękach dzwonek owczych i szczekaniu psów, domyślamy się istnienia staj. Zaczyna zapadać zmierzch, idziemy więc jeszcze kawałek w górę doliny i zakładamy biwak. Rozbijając namioty zastanawiamy się, czy płynący obok potok to jeszcze Zubrynka, czy już Doużyniec.

dzień 3

17.08.1989

Dzisiaj nie zwijamy biwaku. Idziemy na Doboszanę bez plecaków, zostawiając w obozie dyżurnych. Wybieramy wariant wejścia najpewniejszy, to znaczy zgodny z przebiegiem przedwojennego szlaku czerwonego. Z doliny Zubrynki podchodzimy drogą na Połoninę Niżną. Szybko przekonujemy się, że to, co wczoraj wzięliśmy za staję, jest obdrapanym barakozem otoczonym wianuszkami skleconych z najprzeróżniejszych odpadków prymitywnych obórek, chlewików i kurników. Porównanie tego, co zobaczyliśmy, ze stają pasterską byłoby niewątpliwie obrazą dla tej ostatniej. Połonina Niżna w dużej części wykorzystywana jest na łąki kośne – carynki, pooddzielane od siebie płotami. Pokonujemy więc liczne przełazy i zastawy z drągów. Wąski pas lasu oddziela połoninę od ogromnej poręby, zarosłej



maliniakiem, oczywiście pełnym malin. Dzisiaj nie ma jednak czasu na obżarstwo, zostawiamy więc porębę tym, którzy się nie śpieszą i wchodzimy w ładny smrekowy las, z kolei pełen jagód. Siła złego na jednego! W końcu jednak wychodzimy na polanę, która wieńczy kulminację 1530 m. Widać stąd doskonale górną granicę lasu i dalszą naszą drogę na górujący wprost nad nami wał Doboszanki. Cała polanka, okolona brodatymi smrekami, pełna jest różnokolorowych kwiatów i byłaby wymarzonej wprost miejscem na biwak, gdyby nie zupełny brak wody.

Z przełęczy wyraźną ścieżką pośród kosodrzewiny zaczynamy podejście. Kosówka szybko się jednak kończy i przed nami wyrasta stroma ściana gorganu. Ścieżka idzie w prawo łagodnym wyprofilowanym w stoku trawersem. Jest to bez wątpienia fragment przedwojennego szlaku. Jednak po kilkuset metrach trawers ginie w rozległej wyspie kosówki, a my rozpoczynamy żmudną wspinaczkę po gorganie wprost do góry.

Grzbiet Doboszanki miejscami wąski, miejscami rozdzielony na dwa równoległe grzbiety głęboką rozpadliną, pokryty jest licznymi pozostałościami okopów z I wojny. Na mniej więcej pół kilometra przed głównym wierzchołkiem, na północnym, bardzo stromym stoku widać rozległe osuwisko, odcinające się jaśniejszym kolorem od szarozielonego morza gorganu. Ze szczytu Doboszanki (1764 m) wspaniała dookólna panorama. Mimo pewnego zamglenia widać kilka kolejnych planów. Na południu Douha z Płuską, za nimi Czarna Połonina z kulminacją Steryszory, a horyzont zamyka grzbiet Świdowca z Bliźnicą. Na lewo od nich widać wyraźnie sylwetki Pietrosa i Howerli. Na wschodzie doskonale prezentuje się grupa Siniaka i Chomiaka z ostrą piramidą Małego Gorganu na pierwszym planie. Ku północy dziesiątki zalesionych grzbietów i dolin opadających w dolinę Zielenicy, pokrytych gęsto liszajami poręb i jakichś bliżej nie określonych robót inżynierskich. Na zachodzie wreszcie nad Medweżykiem, Poleńskim i Kozim Gorganem rysuje się grupa Sywuli (1836 m), najwyższego szczytu Gorganów.

Z głównego wierzchołka grzbiet Doboszanki opada stromo na głęboką przełęcz, by następnie wspiąć się ponownie na wysokość 1737 m w kulminacji Medweżyka. Otwiera się z niego pełny wgląd w zachodnią część masywu Doboszanki, na Pikun (1657 m), Steryszorę (1569 m), Poleński (1694 m), Klewki i

Kozi Gorgan (1617 m). Bezmiar kamieni i kosodrzewiny bez śladu drogi, czy chociażby ścieżki. W dole widać zarośniętą w dużej części Połoninę Wyżną, przez którą mamy zamiar zejść z powrotem w dolinę Doużyńca. Nie uwzględniliśmy jednak w naszych planach jednego elementu, mianowicie kosówki. Przez pierwsze dwieście metrów udaje nam się odnajdywać jeszcze jakieś ślady ścieżki, później jest już tylko zbity gąszcz kosówki zamykającej się wysoko ponad naszymi głowami. Po trzech kwadransach spoceni, podrapani i oblepieni żywicą docieramy wreszcie na przełęcz. Tu jednak załamujemy się. Perspektywa dalszego darcia się przez gąszcz kosodrzewiny, tym razem pod górę na Wierch Wyżny (1634 m), nie ęci nawet najbardziej zawziętych. Rezygnujemy więc z utrzymania planowanego kierunku marszu i wybieramy rozwiązanie najprostsze: najkrótszą drogą w dół. Częściowo stąpając po konarach, częściowo się ich czepiając opuszczamy się do najbliższego jaru. Wyjście z kosówkowej dżungli wszyscy witamy z niekłamaną ulgą. Teraz już malowniczym, pełnym progów skalnych jarem Doużyńca wracamy na biwak.

dzień 4

18.08.1989

Dzisiaj wyruszamy na południe. Niewysoki grzbiet Połonów przekraczamy w rejonie koty 1262 m i opuszczamy się na przełęcz 1154 m zwaną Krzyżówką lub Stołem. Stoi na niej drewniany budynek schroniska (*turistskij prijut*), na pierwszy rzut oka w nienajlepszej kondycji. Najprawdopodobniej bez stałego gospodarza, a przynajmniej takie sprawiający wrażenie. Krzątający się wokół niego ludzie wyglądają raczej na wczasowiczów niż turystów. Obok schroniska biegnie droga gruntowa z Rafajłowej w dolinę Prutca Jabłonickiego. Przekraczamy ją i mijamy schronisko bez zatrzymywania. Jakoś nie pali nam się do kontaktów z czynnikami oficjalnymi.

Pogoda dopisuje nam nadal, chwilami jest nawet za gorąco. Niebo czyste, ale widoczność niestety nienajlepsza. Podchodzimy na Douhą. Najpierw lasem, później stromym zboczem połoniny osiągamy jej wierzchołek (1355 m) w rejonie starego

słupka granicznego nr 20. Cały grzbiet Douhej i Płoski to rozległa połonina, na której prowadzona jest także obecnie intensywna gospodarka pasterska. Stad jednak już nie ma, o wypasie świadczą jedynie usytuowane na samym grzbiecie liczne obory i koszary. Cały grzbiet oferuje szereg doskonałych miejsc biwakowych z obfitą wodą i wspaniałymi widokami na Doboszankę, Czarną Połoninę i grupę Sywuli.

Z Douhej ponownie w dół. Zbiegamy na łeb, na szyję w dolinę Doużyny. W wydany w 1987 roku w Moskwie atlasie "Ukraińskie Karpaty" w dolinie tej zaznaczono niebieską plamką "wodochroniliszcze" Dowżina. Mamy nadzieję, że jest to istniejąca do dzisiaj kłauza. Niestety spotyka nas srogi zawód. Zapora jest rozbita, teren zalewu zarośnięty leszczyną, wokół rozjeżdżone niemiłosiernie drogi, a w potoku zamiast wody mętna bryja. Trwa intensywna eksploatacja zasobów leśnych, ale już współczesnymi metodami. Koryto potoku Beskid zamieniono dosłownie w grzęzawisko. Staramy się jak najszybciej uciec z tego morza błota, ale nie jest to takie proste. Podchodzimy na Steryszorę drogą, którą wcześniej przejechały ciągniki do zrywki drewna. Całe szczęście, że dawno nie padało. Grzęźniemy w glinie tylko po kostki, strach pomyśleć, co by było po deszczu.

Biwak zakładamy na grzbiecie Czarnej Połoniny pomiędzy Czarnym Groniem i Steryszorą. W ukośnych promieniach zachodzącego słońca piętrzy się na południu imponujący wał Świdowca. Najmniej zmęczeni robią jeszcze wieczorem wypad na szczyt Steryszory, reszta zostawia go sobie na rano. Biwak świetny, tylko . . . zjadają nas żywcem maleńkie muszki, tak małe, że przez moskitierę namiotu przechodą bez trudu.

dzień 5

19.08.1989

Rano mgła. Ci co nie poszli wieczorem na Steryszorę, już nie pójdą – nie ma po co. W kiepskich nastrojach, pogryzieni przez muszki zaczynamy schodzenie. Czarny Groń (1486 m) trawersujemy płajem od południa, na Poharskim natomiast wkraczamy w całe "miasteczko" szałasów, budek i chlewików. Stara osada pasterska. Niektóre szałas mają bardzo ciekawą, archaiczną

konstrukcję, ale wszystkie są niestety mocno nadgryzione zębem czasu. Używane nadal, najwyraźniej nie są jednak konserwowane. Robimy dziesiątki zdjęć i wychwalamy wspaniałe mleko, którym częstują nas gospodarze szałasów. Między szałasami pasą się bardzo fotogeniczne i wytworne kozy.

Stromym płajem, poprowadzonym krótkimi zakosami w leśie, zbiegamy do przysiółka Czarna Cisa (dawniej Pod Poharskim) u ujścia Doużyny do Czarnej Cisy. W samym środku przysiółka mały wiejski sklepik, a w nim chleb, konserwy rybne, soki. Spod sklepu zdezelowany autobus zabiera nas do Jasini, gdzie na skwerku pod pomnikiem Lenina robimy sobie drugie śniadanie z zakupionych w sklepiku produktów.

Po południu – jedni autobusem inni pociągiem jedziemy do Tatarowa zamykając w ten sposób pętlę pierwszej, gorgańskiej części naszej trasy. Odbieramy depozyt i tatarski dworzec ponownie przekształca się w wystawę wszelkiego dobra. Nasze zapasy budzą niekłamane zainteresowanie przechodniów i oczekujących na pociąg pasażerów. Rzeczywiście, rozkładany na indywidualne porcje transportowych przydziałów nasz prowiant może wyglądać dla kogoś niezorientowanego jak bazarowy stragan. Stąd pewnie pytania zadawane nam co chwila – czy to na sprzedaż? Sprzedać nie sprzedamy, ale jest to dobra okazja do nawiązania rozmów. Starsi ludzie świetnie mówią po polsku, wspominają przedwojenne czasy, polskich letników i wcale nie są zdziwieni naszą obecnością.

Wieczorem wyruszamy na wschód w Beskidy Huculskie. Przechodzimy przez most na Prucie i obok przedwojennego Policyjnego Domu Zdrowia (obecnie Dom Wczasowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych) zaczynamy dolinę Tatarowczyka podchodzić na Jahodyn (1217 m). Niestety w połowie doliny droga się kończy i mamy do wyboru albo podchodzić dalej stromym, pełnym śliskich kamieni jarem potoku, albo na “krechę” wyjść wprost do góry na grzbiet. Wybieramy wariant drugi i w zapadającym zmierzchu wspinamy się przesyconym wilgocią lasem, często gęsto pomagając sobie rękami i mocno dysząc pod ciężkimi jak diabli plecakami. Już po zmroku zakładamy na grzbiecie biwak.

dzień 6

20.08.1989

Cały dzień zajmuje nam wędrówka kolejnymi połoninami blisko dwudziestokilometrowego grzbietu Leśniowa, od Jahodyna po Hordje. Wygodnym płajem, trawersującym co wybitniejsze kulminacje, przemierzamy rozległe połoniny: Leśniów, Kunikływa, Oseredok, Czertyj, Winesenyj, Czarny Pohar, Szczewka i Bukowinka. Cóż za bogactwo nazw. Prawdziwy raj dla badaczy toponimów. Wszystkie kulminacje tego grzbietu ozdobione są wysokimi, drewnianymi krzyżami. Na niektórych wierzchołkach stoją nawet dwa albo trzy. Na WIG-owskich mapach zaznaczonych jest na tym grzbiecie wiele krzyży, ale obecnie odnajdujemy ich znacznie więcej. Oprócz wysokich, drewnianych, pozbawionych jakichkolwiek inskrypcji, spotykamy kilka krzyży betonowych opatrzonych napisami i ozdobami. Są wśród nich krzyże stawiane jeszcze przed wojną, ale także te z ostatnich lat. Jeden upamiętnia czyjąś śmierć od pioruna, inny śmierć z rąk sąsiada, jeszcze inny zwyczajnie chwali Boga zaopatrzonej w modlitwę "Ojcze Nasz". Huculi zaś przesiedli się najwyraźniej z koni na motory. Kilkakrotnie widzimy zmotoryzowanych "watahów" pędzących po połoninach.

Cały grzbiet jest z pewnością bardzo widokowy, ale my mimo ładnej pogody widzimy niewiele. Zamglenie powietrza powoduje, że bardziej się domyślamy niż dostrzegamy cokolwiek poza najbliższym planem. Za Bukowinką (1257 m) grzbiet zaczyna się podnosić. Przechodzimy Syhołkę (1327 m) i Hordje Dobrokijewskie (1353 m). Po południu pogoda się psuje i zaczyna kropić deszcz. Rezygnujemy więc z wejścia na Hordje (1479 m). Przed jego zalesionym trabantem (1416 m) skręcamy w prawo w drogę wojenną biegnącą z Kosmacza do Worochty. Droga zbudowana w czasie I wojny światowej, choć w kilku miejscach mocno zniszczona, używana jest jednak nadal, o czym świadczą całkiem świeże ślady kół ciężkich samochodów. Droga szerokim łukiem obchodzi od wschodu Hordje, a następnie przez przełęcz Kłynie wychodzi na stoki Kityłowej (1431 m), by po obejściu jej od północy i wschodu wyprowadzić na siodło Gawory (1244 m). Tuż przed wejściem na przełęcz, na skraju niewielkiej polany, po prawej stronie drogi stoi prosty drewniany krzyż. Poniżej niego

w wysokiej trawie dwa niewielkie wzgórki. Spotkany na przełęczy przewodnik z pobliskiego schroniska Jawor nad Ardżeluzą twierdził z całym przekonaniem, że pod tym krzyżem leżą polscy legionści. Nie jest to wykluczone, nigdzie jednak na ten temat nie udało mi się znaleźć żadnych informacji.

Z biwaku, który zakładamy na grzbiecie Kityłówki w rejonie punktu wysokościowego 1281 m, widać w promieniach zachodzącego słońca grzbiet Czarnohory.

dzień 7

21.08.1989

Wierzchołek Kityłówki (1383 m), który trawersujemy od południowego zachodu, obdarował nas obficie słodkimi jagodami. A dalej niezawodny jak zwykle płaj wyprowadził stokami Kopca (1349 m) na rozległe polany przysiółka Krywopole, a nimi na przełęcz Granica (916 m). Przez nią prowadzi dość ruchliwa, asfaltowa szosa, którą między innymi kursują autobusy z Żabiego (Werchowiny) do Worochty. Około pół kilometra poniżej przełęczy, w kierunku Ilci znajduje się przystanek autobusowy Krywopole. Przy szosie kilka zagród, kilka domków letniskowych. Większość zagród rozrzucona po okolicznych stokach. Domki drewniane, schludne, często z oszklonymi, kolorowymi werandami. Dachy wyjątkowo już tylko kryte gontem czy dranicą, najczęściej jednak blachą z koronkowymi, wyciętymi w niej ozdobami gzymsów i rynien, a także wytłoczonymi w blasze zdobieniami szczytów. Z takimi samymi zdobieniami spotkałem się już na rumuńskiej Bukowinie. Odnoszę wrażenie, że tak tam jak i tu, ilość blaszanych ozdób jest miarą zamożności właściciela, a zatem obowiązującym kanonem piękna. Nam przypomina to trochę ... wystrój trumien, tym większą więc radość sprawia każda starodawna zagroda.

Taką właśnie zagrodę, jakby żywcem przeniesioną z ubiegłego stulecia odnaleźliśmy w przysiółku Bukowień, po drodze na Kostrzycę. W centrum stał obszerny, kryty gontem dom z ozdobnym gankiem. Obok, prostopadle do niego mniejszy, kryty dranicami. Jego frontową ścianę osłaniał oparty na kolumnkach, wysunięty okap dachu, tworząc w ten sposób ro-

dziej długiego ganku. Był to, jak sądzę, stary dom pełniący obecnie, po wybudowaniu większego, rolę obórki i składziku. Zagrodę uzupełniał spichlerzyk z piwniczką oraz rodzaj oszalowanego ze wszystkich stron brogu i pasieka z pięknymi, starymi ulami. Całe gospodarstwo otaczały worynie (czy jak u Vincenza – worynia), rodzaj specyficznego dla Huculszczyzny płotu, oddzielające od siebie poszczególne partie łąk, zależnie od ich przeznaczenia. Ale jakie to były worynie!? Tym, które spotykaliśmy już wcześniej, zawsze czegoś brakowało – a to poprzeczki były nie takie, a to wiązane u szczytu były zwykłym drutem. Te zaś miały wszystko na swoim miejscu: poprzeczki były z lupanych po długości bali, a wiązane były wiklinową plecionką. Cała zagroda sprawiała wrażenie dobrze utrzymanego skansenu. O tym, że nie jest to muzeum, przekonaliśmy się jednak bardzo szybko, popijając wyniesione przez gościnną gospodynię mleko. Gospodarz zaś, gdy dowiedział się, że jesteśmy z Polski, zapytał zaraz, czy nie mamy ze sobą przypadkiem ... długiej kosa. Tu długa kosa jest nieosiągalna, a koszenie krótką to dwa razy więcej roboty. Na dowód tego pokazał nam swoją kosę, z którą szedł właśnie na łąkę. Jej ostrze było znitowane domowym sposobem z dwóch krótszych. Rozstając się z miłymi gospodarzami przyrzekliśmy sobie, że następnym razem bierzemy po jednej kosie do plecaków. Nie wiem jednak, czy dziadek pamiętający przedwojenne polskie kosa nie rozczarowałby się przykro współczesnymi wyrobami. Z tą jakością polskich kos to musiała być prawda, bo pamiętam, że kiedy byłem w Karpatach Marmaroskich to tamtejsi Ukraińcy z Ruskiej Polany też pytali mnie o kosa z Polski.

Idziemy dalej, to brodząc po kolana w kwiecistych łąkach, to deptając po elastycznym dywanie świeżo skoszonej trawy. Słońce praży niechętnie, a powietrze przesycone zapachami skoszonych łąk zdaje się stać w miejscu. Coś najwyraźniej “wisi w powietrzu”. Odkąd przekroczyliśmy przełęcz w Krywopolu, jesteśmy już jakby nie było w Czarnohorze, a to przecież góry słynące ze zmiennej pogody. Zatrzymujemy się na skraju lasu i zapalamy ognisko – czas na przegryzkę. W tym samym momencie dochodzą do nas pierwsze pomruki burzy, a zaraz potem spadają grube krople deszczu. Chowamy się pod smreki, a deszcz po chwili zamienia się w grad tak intensywny, że

stojące przy ognisku menażki w mig wypełniają się po brzegi gradowymi kulkami. Niektóre z nich mają wielkość gołębiego jaja. Ścieżka błyskawicznie zamienia się w rwący potok, a w lesie robi się biało. Smreki i parasole osłaniają wprawdzie przed bolesnymi uderzeniami gradu, ale nie przed wodą. Miny mamy raczej niespecjalne, tym bardziej, że to “bombardowanie” wcale nie ma zamiaru się szybko skończyć. Wreszcie, po godzinie z okładem grad ustaje, a deszcz traci zdecydowanie na intensywności. Zmarznięci, zgrabiałymi rękami rozpalamy jednak jakoś ognisko, a gorąca herbata przywraca optymizm. Około piątej po południu przez chmury przebijają się pierwsze promienie słońca, zaczynamy więc podejście pod Kostrzycę. Czarnohora dała nam pierwsze ostrzeżenie, aż strach pomyśleć co by było, gdyby taka burza złapała nas gdzieś na grzbiecie.

Sprawdza się przysłowie, że nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło, Kostrzyca (Kostrycz 1586 m) nagradza nas wspaniałym widokiem. Po gradowej burzy powietrze ma bowiem krystaliczną przejrzystość. Z porytego okopami szczytu widzimy jak na dłoni cały grzbiet Czarnohory, od którego oddziela nas tylko Maryszeska i dolina Bystrca. Na zachodzie widać Gorgany z grupami Siniaka, Doboszanki i Sywuli. Na północy zaś całe mnóstwo gór – to Beskidy Huculskie z Hordjami i Łysiną Kosmacką. My jednak najdłużej spoglądamy na grzbiet Czarnohory. Uczymy się nazw szczytów i dolin, porównujemy widok z panoramą zamieszczoną w przewodniku Gąsiorowskiego¹. Z niemałym zdumieniem ale co tu dużo ukrywać, i pewną satysfakcją znajdujemy na niej błędy. Mianowicie nie ma tam w ogóle Pop Iwana dominującego we wschodniej części grzbietu Czarnohory. Inna sprawa, że Gąsiorowskiemu było trudniej go zlokalizować ponieważ kiedy rysował swoją panoramę szczytu Pop Iwana nie wieńczyła charakterystyczna sylwetka obserwatorium. Teraz widoczne na szczycie jego ruiny nie pozwalają mieć żadnych wątpliwości.

Namioty rozbijamy wysoko na ramieniu Kostrzycy z cudownym widokiem na zachodzące za Wielką Koźmieską słońce. Długo siedzimy przy ognisku wpatrując się w horyzont grają-

¹Henryk Gąsiorowski, Przewodnik po Beskidach Wschodnich, t.2 Pasma Czarnohory, str. 96: Schematyczny rys linii ...

cy całą gamą fioletów, na których tle dominuje czarny stożek Howerli.

dzień 8

22.08.1989

Miło jest obudzić się ze świadomością, że po rozpięciu namiotu ujrzy się panoramę Czarnohory, tym bardziej, że z Kostrzycy jest ona podobno najpiękniejsza. Przed wyruszeniem w dalszą drogę rozglądamy się w poszukiwaniu śladów harcerskiego schroniska "Pod Kostrzycą". Brakuje nam jednak jego dokładnej lokalizacji na mapie i w tej sytuacji poszukiwania kończą się fiaskiem. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że było ono położone dużo bardziej na wschód od miejsca naszego biwaku, gdzieś w rejonie wierzchołka 1513 m.

Dzisiejsza nasza droga wiedzie grzbietem łączącym Kostrzycę z Maryszeską. Znajduje się w nim kilka niewybitnych kulminacji sięgających ok. 1350 m wysokości, oddzielonych od siebie płytkim przełęczami. Trasa, wiodąca zalesionymi grzbietami, zapowiadająca się niezbyt ciekawie, przyjemnie nas rozczerowała dostarczając z licznych polan bajkowych wprost widoków na górne piętro doliny Bystrca. Marysz (1345 m) trawersujemy od południa i zaczynamy podejście na Maryszeską. Okazuje się, że stary płaj wyprowadzający ponad granicę lasu i dalej na szczyt, nieużywany, zarósł całkowicie. Idziemy więc w lewo ścieżką biegnącą mniej więcej po poziomicy ponad doliną Bystrca. Trawersuje ona Maryszeską wychodząc na jej południowe stoki, wprost na ruiny schroniska Karpackiego Towarzystwa Narciarzy "Pod Maryszeską".

Punktualnie o godzinie trzeciej po południu nadciąga burza i zaczyna padać deszcz. Wprawdzie tym razem bez gradu, ale wystarczy, żeby nadwątlić naszą motywację do dalszej wędrówki. Jednogłośnie postanawiamy go przeczekać, co nam się zresztą udaje, ale jest to pyrrusowe zwycięstwo, bo kiedy deszcz przestaje padać, jest już tak późno, że dalszy marsz nie ma sensu. Nocujemy więc pod Maryszeską, tuż obok romantycznych ruin schroniska z wznoszącym się wprost przed nami masywem Szpyci (1864 m).

dzień 9

23.08.1989

Dzień wstaje wilgotny i zamglony, ale na szczęście nie pada. Bystreckim Plajem wychodzimy na przełęcz między Maryszeską a Szpyciami, a z niej mało używaną ścieżką zaczynamy podchodzić grzbietem na Szpyci. Las się szybko kończy i zaczynamy kluczyć wśród kosówki mokrej jeszcze po wczorajszym deszczu. Przeciskając się pomiędzy grubymi jak ręka konarami, przypominam sobie, jak to Walery Goetel w “Wierchach”² ciskał gromy na spółkę “Howerla” eksploatującą olejek kosodrzewinowy na stokach Maryszeskiej. Ś.p. Profesor miałby dzisiaj satysfakcję – po działalności spółki ani śladu. Nieprzeniknione łąny kosówki porastają stoki Maryszeskiej, Szpyci i Homuła. Wyrываяc po raz nie wiem który plecak z elastycznych splotów poczułem jednak jakby odrobinę sympatii do przedwojennych fabrykantów terpentyny.

Wierzchołek Szpyci (1864 m) zostawiamy po lewej ręce i trawersem wychodzimy na rozległą przełęcz między Szpyciami a Homulem (1786 m). Pomiedzy kosodrzewiną, niższą tu i mniej gęstą pojawiają się coraz częściej rozległe połacie rdzawych traw nadających stokom jesienny koloryt. Na przełęczu krzyżują się rowy okopów ze sterczącymi złowrogo zwojami drutu kolczastego. Z przełęczu podziwiamy oryginalny widok na wyrastające w środku kotła Dancerzyka, Wielkie i Małe Kozły oraz na zdominowane potężnym masywem Turkuła (1932 m) otoczenie Jeziora Niesamowitego – celu naszej dzisiejszej wędrowki. Od dłuższego już czasu zanosi się na burzę. Jej odległe pomruki dobiegające do nas coraz to z innej strony chcąc nie chcąc przywołują na pamięć przedwczorajsze gradobicie. Wzmacnia to niewątpliwie argumenty tych, którzy proponują, abyśmy do Jeziora Niesamowitego dotarli obchodząc Wielkie i Małe Kozły od dołu doliną Dancerzyka. Bardziej jednak od burzy na grzbiecie odstrasza ją nas zwarte łąny kosówki szczelnie wypełniające górne piętro doliny Dancerzyka. Wracamy więc na grzbiet Szpyci i idziemy nim do zwornika w grzbiecie głównym (1935 m). Po drodze podziwiamy Szpycie (Szpice), wypreparowane przez wiatry i wodę

²Wierchy r. X, 1932, str. 143–146

w piaskowcu magurskim oryginalne formy skalne, wiszące jak dekoracje teatralne nad kotłem Gadżyny.

Na rozległą połoninę grzbietu głównego wychodzimy przy słupku granicznym nr 30, wracając w ten sposób na starą granicę polsko-czechosłowacką, spotkaną już raz na trasie naszej wycieczki na Połoninie Douhej. Po trzech kwadransach docieramy na przełęcz pod Turkułem. Schodzimy z niej jednak na stronę południową, ponieważ wydaje nam się ona bardziej nadającą się na kameralny biwak niż okolica Jeziora Niesamowitego. Jak zwykle o trzeciej po południu zaczyna padać. W tej sytuacji planowany popołudniowy wypad bez plecaków na Howerłę odkładamy na następny dzień. Tuż przed zachodem słońca południowy nieboskłon rozjaśnia się, chmury ustępują i nad doliną Białej Cisy ukazuje się zębaty łańcuch Karpat Marmaroskich z Farkaułem (1961 m), Mihaileculem (Mihailekiem 1920 m) i Pop Iwanem Marmaroskim (1940 m).

dzień 10

24.08.1989

Wstajemy przed świtem i bez śniadania wyruszamy na Howerłę. Deszcz wprawdzie nie pada, ale za to gęsta mgła spowiła szczerlnie wszystko. Idziemy ściśle grzbietem od słupka do słupka. Dwukrotne próby trawersowania wierzchołków (Turkuła i Dancerza) kończą się błędzeniem po omacku i koniecznością powrotu na grzbiet. Klnę w duchu nieprzychylny los, ponieważ mojemu pierwszemu wejściu na Howerłę w 1980 roku towarzyszyła identyczna aura. Wtedy ze szczytu nie widzieliśmy nic.

Jednak za Breskułem (1911 m) mgły zaczynają pękać pod naporem wiatru i szczyt Howerli (2058 m) wita nas słońcem. Stoimy na najwyższym wierzchołku Beskidów, marzenia stały się faktem. Dla każdego z uczestników naszej wyprawy jest to wydarzenie wyjątkowe, swoiste święto. Toteż z początku każdy przeżywa je po swojemu i dopiero po pewnym czasie zaczynamy rozmawiać, dzielić się spostrzeżeniami i zwyczajnie się cieszyć. Nie obyło się oczywiście bez obowiązkowego w takich wypadkach ceremoniału zdjęcia strażackiego. Widok ogranicza kłębiące się w dole, po północnej stronie, morze chmur, na połu-



Pop Iwan.
↑ Pozostałości stropu obserwatorium.
↓ Portal z rozstrzelanym Orłem. →
Fot. Andrzeja Wielochy (1989 r.)



← Na Przelęczy Legionów
 Fot. Jerzy Montusiewicz (1980 r.)



↑ Tablica na Przelęczy Legionów
 Fot. Jan J. Swianiewicz (1980 r.)



Na Przelęczy Legionów →
 Fot. Jerzy Montusiewicz (1989 r.)



dnie jednak wzrok biegnie daleko ponad zalaną słońcem dolinę Białej Cisy. Sąsiedni Pietrosz (2020 m) zwieszający swoją urwistą ścianę nad Przełęczą Harmanieską co chwila przesłania swe czoło postrzępionymi chmurami.

Przebiegam wzrokiem połoninę Breskulską w poszukiwaniu schroniska. W roku 1980 na pewno tam było. Jak dziś pamiętam, jak maszerując przez Połoninę Harmanieską spoglądaliśmy z niepokojem w jego kierunku, zastanawiając się czy nie wyjdzie z niego ktoś i nie zapyta nas, skąd się tu wzięliśmy. Teraz nie mogę go odnaleźć, może go już nie ma? Jest natomiast doskonale widoczny kompleks turystyczny na Połoninie Pożyżewskiej, Zaroślaka niestety nie widać.

Wiatr, który rozwiął mgły, zaczyna się wzmacniać i pędzi przez grzbiet coraz to nowe strzępy mgieł czy chmur. Wracamy na miejsce biwaku jakby granicą dwóch światów. Po prawej ręce mamy pełne słońca i ciepła rozkwiecione połoniny, po lewej morze mgieł, chmur i wiatrów. Wypad na Howerlę zajął nam blisko pięć godzin, toteż śniadanie zjadamy dzisiaj w południe, by zaraz potem zwinąć biwak i ruszyć dalej grzbietem Czarnohory na południowy wschód.

Czarnohora przytłoczyła nas swym ogromem. Szliśmy godzinami wydającym się nie mieć końca grzbietem poprzez Rebra (2001 m), Brebenieskuł (2037 m), Munczel (1999 m), Dzembronię (1880 m), jedne wierzchołki zdobywając, inne trawersując wygodnym płajem. Otwierały się pod naszymi nogami rozległe kotły Gadżyny, Kizich Ułohów, Dzembroni. Pod Gutin Tomnatykiem połyskiwało w słońcu czarnosrebrzyste jeziorko, otoczone z trzech stron stromymi stokami polodowcowego kotła. Dźwięczały w uszach nazwy mijanych bocznych grzbietów: Kiedrowaty, Pohoryłka, Rozszybenyk. Ze wszystkich zdobywanych po drodze wierzchołków widzieliśmy wyznaczający kierunek naszego marszu potężny masyw Popa Iwana, zwieńczony charakterystyczną sylwetą ruin obserwatorium.

Grzbiet na całej długości porożyty jest niezliczonymi, częściowo już zabliznionymi liszajami okopów, z których tu i ówdzie wystają jeszcze zwoje zardzewiałego drutu kolczastego. Jak na siedemdziesięciolatka z okładem jest on jeszcze całkiem krzepki i wystarcza chwila nieuwagi, by zostawić na nim fragment nogawki. Na szczycie Brebenieskuła odnaleźliśmy wyraźnie czytelne

całe linie obronne, transeje, stanowiska dowodzenia, bunkry.

Przy słupku granicznym nr 18 wieńczącym zwornik grzbietu Smotrca (1896 m) uznajemy, że wchodzenie po ciemku na Popa Iwana nie ma sensu, i że musimy zostawić go sobie na jutro. Ostatnie promienie słońca towarzyszą naszemu zejściu w dolinę Pohorylca, gdzie na stokach Smotrca, przy ruinach schroniska Sekcji Narciarskiej AZS Warszawa rozbijamy namioty. Wiatr, który wiał cały dzień z niesłabnącą siłą, również w nocy szarpie tropikami namiotów, ale niebo jest wspaniale rozgwieżdżone.

dzień 11

25.08.1989

Okolice, gdzie schodzą się grzbiety Smotrca i Pop Iwana, nosi wiele mówiącą nazwę – Pohane Misce. Przekonaliśmy się wkrótce, że to nie są puste słowa.

Kiedy rano zaczynamy podejście na Pop Iwana (2022 m) wiatr jest tak silny, że wręcz utrudnia oddychanie. Pochyleni w kierunku nacierającego wiatru staramy się utrzymać na grzbiecie równowagę. Dobrze, że schowane w kosówce plecaki zostały na dole, bez nich łatwiej walczyć z wiatrem. Krok za krokiem zbliżamy się do ruin obserwatorium piętrzących się na szczycie niczym jakieś ponure, średniowieczne zamczysko. Wreszcie jest słupek nr 16 i dający osłonę przed wiatrem mur obserwatorium. Rozbiegamy się po ruinie zaglądając do wszystkich kątów. Mury są bardzo dobrze zachowane, zaś klatka schodowa umożliwia wejście na piętro i na dach. W jednym z pomieszczeń prawego skrzydła zachował się drewniany strop, niestety mocno już przegniły i wybrzuszony. W wieży teleskopu zachowały się jakieś żeliwne elementy jego konstrukcji. Wszędzie wałają się popękane grzejniki i rury kanalizacyjne. Z pozbawionych tynku ścian odpada płatami materiał izolacyjny. Ten obraz totalnego zniszczenia i destrukcji przywodzi mi na myśl, brzmiące tu jak kiepski żart, wspomnienia kierownika obserwatorium Władysława Midowicza. Opuszczając 17 września 1939 roku obserwatorium zostawił on otwarty na oścież sejf po to, żeby ci, którzy przyjdą tu później, nie musieli go rozbijać, aby dowiedzieć się, że jest pusty.

Płaskorzeźbę stylizowanego orła zdobiącą wejście do obserwatorium przecinają głębokie ślady po pociskach. Dziś już nikt nie odgadnie, jakiej armii żołnierz je wystrzelił – radzieckiej, węgierskiej czy niemieckiej, a może podziemnej, ukraińskiej?

Robimy oczywiście całą masę zdjęć. Niestety zamglone powietrze, mimo słonecznej pogody, ogranicza rozległość panoramy. Na południu widać jednak majaczącą ponad obniżeniem Przełęczy Szybeńskiej zgrabną piramidę Stohu (1653 m). W 1982 roku stojąc na jego szczycie wpatrywałem się w majaczące na Pop Iwanie obserwatorium i bardzo, bardzo chciałem stanąć kiedyś pod jego murami. Nawet szalone marzenia się czasem spełniają.

Poganiani huraganowymi podmuchami wiatru zbiegamy z Pop Iwana do plecaków ukrytych w pobliżu ruin schroniska AZS. W dolinie ciepło i wiatr nie taki silny. Toteż tylko część z nas decyduje się wrócić na grzbiet i wędrować dalej przez Smotrec (1896 m), pozostali idą doliną na przełęcz pod Stajkami.

Dolina Pohorylca wydała mi się rajem na ziemi. Być może dlatego, że po zdobyciu Popa Iwana zasadniczy cel wycieczki został spełniony i ogarnęło mnie pewne odprężenie, a nawet rozleniwienie. W każdym razie miałem – i chyba nie tylko ja – ogromną ochotę zostać nad Pohorylcem kilka dni i poszwendać się bez celu po polanach pełnych kwiatów, zapachów i słońca.

Na przełęczy pod Stajkami spotykamy schodzących ze Smotrecza kolegów, jednak dalsza nasza droga nie wygląda najlepiej. Kosówka zwarła szeregi i szykuje się najwyraźniej do walnej z nami rozprawy. Po długim studiowaniu pozycji przeciwnika odnajdujemy w jego szeregach pewne słabsze miejsca i na nich koncentrujemy swoją uwagę. Ledwie widoczną ścieżką próbujemy wyjść na północne ramię niższego wierzchołka Stajek (1732 m). Manewr przynosi sukces. Kosówka jest tu mniejsza, dzięki czemu dość szybko osiągamy wysokość i trawersując partie szczytowe od północy wychodzimy na przełęcz pod właściwy, potrójny szczyt Stajek (1745 m). Okazało się jednak, że tu właśnie, na przełęczy ukryte do tej pory przed nami zgromadziły się główne siły wroga.

Żadnej taryfy ulgowej, ani śladu ścieżki, a w dodatku kosówka porasta kilka linii okopów gęsto przeplatanych zasiekami z drutu kolczastego. Utrzymując się w konwencji, można by rzec,

że trup padał gęsto i nikt nie dawał pardonu. Jakoś w końcu ledwie żywi wgramoliliśmy się na skalisty szczyt Stajek po to tylko, żeby – uciekając przed zmierzchem – szybko z nich zbiec na rozległe polany na ich wschodnim stoku. Namioty rozbijamy już po ciemku.

dzień 12

26.08.1989

Dzień wstaje pochmurny i zamglony. Lasem schodzimy na przełęcz, a z niej zaczynamy podchodzić na Skoruszny (1551 m). Najpierw stromo wprost w górę, później w prawo, łagodnie nabierającym wysokości, długim, leśnym trawersem. Grzbiet Skorusznego osiągamy daleko na południowy wschód od głównego wierzchołka, na rozległej połoninie w rejonie kulminacji 1331 m. Połonina jest wypasana, jednak stad ani pasterzy nie spotykamy. Płaj przewija się wreszcie przez grzbiet i wchodząc ponownie w las zaczyna opadać do Zielonego. Po kilku minutach wychodzimy na szeroką, stromo opadającą w dolinę porębę, z której szczytu otwiera się nam rozległy widok na dolinę Czeremoszu, rozrzucone w niej przysiółki Zielonego, a także na stoki wznoszącej się po przeciwnej stronie doliny Skupowej, celu naszej dzisiejszej wędrówki. Zaczyna kropić drobny deszczyk. Jednak poręba pełna jest dojrzałych malin, a młodniki w dolnych partiach stoku obfitują w rydze, toteż zejście do Zielonego zajmuje nam więcej czasu, niżby to wynikało z mapy.

Docieramy jednak wreszcie do wsi, prosto pod wiejski sklep, w którym oczywiście robimy zakupy. Kupujemy jakieś ciastka, soki, które od razu wypijamy, oraz coś co się nazywało kisielcem, a co – jak się później okazało – wcale nim nie było. Krzątania naszej grupki pod sklepem wzbudziła niestety zainteresowanie miejscowego milicjanta, który po krótkiej wymianie zdań oświadczył nam, że znajdujemy się w ścisłej strefie nadgranicznej, i że powinniśmy posiadać na to specjalne zezwolenie. Skoro takiego nie mamy, musimy udać się z nim na posterunek. Zabrzmiało to dość groźnie i urzędowo. Poszliśmy więc przez wieś konwojowani przez milicjanta i odprowadzani ukradkowymi spojrzzeniami mieszkańców. Minęliśmy po lewej stronie cerkiew i po jakichś

500 m stanęliśmy przed niewielkim drewnianym, stylizowanym na "sztukę huculską" budyneczkiem. Jak się okazało pełnił on rolę posterunku, którego załogę stanowił "nasz" milicjant. Rozłożyliśmy się obozem w przestronnej sieni posterunku pełniącej jednocześnie rolę przystanku autobusowego, a pan posterunkowy podjął trud porozumienia się z przełożonymi w rejonie, to znaczy w Żabim–Słujecce (obecnie Werchowina), w celu ustalenia, co z nami począć. Ponieważ porozumienie telefoniczne z rejonem okazało się sprawą skomplikowaną i czasochłonną, z nudów zaczęliśmy się rozglądać po okolicy. Szybko znaleźliśmy piekarnię, a w niej świeżutki, jeszcze gorący chleb.

Mieszkańcy Zełenego, z daleka omijający posterunek, pytali nas sciszając głos – "A czego ten siandar od was chce?". Siandar zaś okazał się zupełnie sympatyczny. Problemy łącznościowe wprawiły go w zakłopotanie. Odnieśliśmy wrażenie, że żałuje coraz bardziej tego, że nas pod tym sklepem zauważył. Najwyraźniej napytał sobie biedy i teraz nie wie, co z tym fantem począć. Wystawił nam na zewnątrz posterunkowy stół, a do chleba i smalcu zaserwował nam służbowy (?) czosnek. Wreszcie łączność została nawiązana i zapadły decyzje. Dla każdego z winnych naruszenia strefy – to znaczy z nas – został spisany osobny protokół zawierający, oprócz całej masy najdziwniejszych informacji (np. zawód i wysokość zarobków), także własnoręcznie napisane oświadczenie, że naruszenie było nieświadome i wynikało z naszej niewiedzy.

Teraz został już tylko problem, jak nas ze strefy nadgranicznej usunąć. Granica ścisłej strefy przebiega gdzieś między Dzembronią a Bystrcem, a najbliższy autobus do Żabiego i Kosowa miał przyjechać dopiero za cztery godziny. Siandarowi nie bardzo się uśmiechała perspektywa pilnowania nas do późnego wieczora. Nasza nieśmiała propozycja, że może pójdziemy piechotą przez Skupową (takie były nasze pierwotne plany), spotkała się z uprzejmym ale zdecydowanym odporem. Pozostało więc czekać na okazję. Pojawiła się ona dość szybko w postaci pojazdu przypominającego trochę "Osinobus", a jadącego do Ilci. Ku obopólnej radości rozstaliśmy się więc z zełeneńskim siandarem, na pożegnanie obdarowując się wzajemnie drobnymi pamiątkami.

Jazda przełomem Czarnego Czeremoszu szutrową, miejsca-

mi bardzo wąską i eksponowaną drogą przysporzyła nam wiele emocji i satysfakcji z oryginalnych widoków. Żał tylko, że nie mieliśmy więcej czasu na jego dokładne zwiedzenie.

Wysiadłszy w Ilci z naszej "okazji", odwiedziliśmy przede wszystkim ogromną, drewnianą cerkiew, zbudowaną w tak zwanym "stylu narodowym". W przestronnym wnętrzu, ozdobionym dziesiątkami haftowanych ruczników i liźników kłui znajdującej się w centrum ikonostasu, migający na przemian czerwonym i niebieskim światłem neon głoszący chwałę Chrystusa. Na przycerkiewnym cmentarzu zwracają uwagę stoliki usytuowane przy każdej prawie mogile. Świadczą one o żywej tradycji spożywania rytualnych posiłków nad grobem bliskich.

Późna godzina przypominała nam o konieczności szukania noclegu. Przeszliśmy więc przez wiszący mostek na Czarnym Czeremoszu i po godzinnym podejściu przez łąki i pola dotarliśmy do skraju lasu ponad ostatnimi zagrodami przysiółka "Pod Krętą". Ładny widok na kotlinę Ilci i malowniczo rozrzucone po stokach zagrody jej przysiółków zdecydowały o wyborze tego miejsca na biwak.

dzień 13

27.08.1989

Na północy, nad wypełnioną porannymi mgłami kotliną Ilci unosiły się obłe wierzchołki Beskidów Huculskich – Poharów, Wipczynki i Białej Kobyły. Na zachodzie zaś, na lewo od widocznej w perspektywicznym skrócie Kotrzyicy, Howerla stała na straży czarnohorskiego łańcucha. Wczorajszy deszcz oczyścił widocznie powietrze, bo przejrzystość jego była wręcz doskonała mimo zalegających doliny mgieł. Huculskie zagrody wyrzucały się z nich niczym jakieś archaiczne, baśniowe wyspy z zaczarowanego oceanu.

Piotrek i Zygmunt schodzą dzisiaj na dół, spotkamy się z nimi dopiero za dwa dni. My natomiast zaczynamy podejście na Krętą (Kryntą 1351 m). Zupełnie dobra droga kończy nam się – można by rzec – już tradycyjnie w najmniej spodziewanym miejscu i nie zostaje nam nic innego jak zrobienie "diretissimy" Krętej. Pot zalewa oczy, gałęzie czepiają się plecaków, a za

kołnierz sypie się igliwie, przyklejając się natychmiast do mokrych pleców. Co tu dużo mówić, w wybieraniu najstromejszych i najbardziej zakrzaczonych stoków Adam jest niezastąpiony. W końcu gramolimy się na grzbiet, las kończy się nagle i ... całe zmęczenie, złość oraz nieuzasadnione pretensje przechodzą jak ręką odjął. Oczom naszym ukazuje się panorama, o jakiej marzy każdy górski turysta. W krystalicznie czystym powietrzu, skąpane w słońcu rozpostarły się przed nami dziesiątki pasm i setki wierzchołków. Panorama z górą stukilometrowej rozpiętości. Od Gorganów z Siniakiem, Doboszanką i Sywulą, poprzez majestatyczną Czarnohorę widoczną w najdrobniejszych szczegółach i rozległe, tajemnicze Hryniawy z Babą Ludową (1586 m), aż po Góry Marmaroskie z Czywczynem, Budyjowską, Kopilaszem i ... Góry Rodniańskie z Pietrosulem i Ineulem. Stałiśmy oniemiali przed tym trudnym do ogarnięcia bogactwem, chłonąc je w milczeniu. Taka panorama trafia się raz na wiele lat. Robimy oczywiście dziesiątki zdjęć, kłócimy się o identyfikacje poszczególnych szczytów i z tego wszystkiego zapominamy o upływie czasu. Dopiero kiedy zaczynają pojawiać się chmury i widoczność zaczyna się psuć, przypominamy sobie o dalszej drodze.

Z Krętej schodzimy płajem do przysiółka Za Magurą. Ze świata gór przenosimy się nagle do świata ludzi, ale ludzi górskich, do serca Huculszczyzny. Grzbiety, grzbieciki i kopy wypełniające całą przestrzeń od znajdujących się za naszymi plecami stoków Krętej aż po majaczący w oddali ciemny masyw Synyci, pokryte są niezliczoną ilością zagród. Tak właśnie, nie przysiółków, nie osiedli, ale zagród. Każda z nich jest inna, ale każda jest swoistym, zamkniętym kosmosem odseparowanym od reszty świata. Samowystarczalną całością, warownią ukrywającą ludzką siedzibę za kilkoma pierścieniami płotów, bramek, rozłogów, przelazów i czego tam jeszcze. Nawet brogi pełne świeżego siana odgradzają się od otoczenia dookolnym płotem.

Idziemy drogą pomiędzy płotami, w których tradycyjna konstrukcja woryni pobrzmiwa już tylko jak dalekie echo. Mijamy kolejne zagrody. Wszystkie, i te małe, biedne, i te duże, bogate odwrócone są do drogi tyłem, plecami. Kryją swoją intymność przed niepowołanym okiem. Rozglądamy się za prawdziwą huculską grażdą, taką, której niezapomniany obraz wymalował na kartach "Wysokiej Połoniny" Stanisław Vincenz. Wreszcie, chy-

ba jest! Wysoki, szary od starości, czterospadowy dach kryty dranicami. Okapy sięgające prawie do samej ziemi tak, że ścian spod niego prawie nie widać. W bok pod kątem prostym odchodzą mniejsze daszki. Niecierpliwie rozbieramy rozłogi, podchodzimy bliżej, otwieramy furtkę i . . . rozczarowanie. To tylko pół grażdzy z podwórzem zamkniętym z dwóch stron. Chata piękna, wiekowa, ale liczyliśmy na więcej. Gospodyni widząc nasze zawiedzione miny tłumaczy nam, że prawdziwą grażdę znajdziemy wyżej, tam w kępie starych dębów.

I rzeczywiście ta jest na miarę vincenzowskiego opisu. Ogromna, zwrócona do wewnątrz jak stary człowiek zapatrzony w przeszłość. Dopiero tym, którzy przekroczą zwieńczoną daszkiem bramę, ukazuje swe prawdziwe, ciepłe oblicze z ciemnobrązowych, wiekowych bali. Wygląda na to, że nikt już w niej nie mieszka. Wnętrza obórek i składzików spowite tajemniczym półmrokiem są puste. Ciekawe jaki będzie dalszy los tej grażdzy, może trafi do skansenu?

Pod wieczór z grzbietu Magury (1057 m) oglądamy cały ten świat huculski z jakąś cichą radością, ale i smutkiem zarazem. Całymi latami czytając o Huculszczyźnie budowaliśmy w wyobraźni jej obraz na miarę tamtych czasów, minionych bezpowrotnie. Teraz dotykamy jej, smakujemy i porównujemy. Nie jest taka jak tamta, bo być nie może. Jest inna, ale jest. Stąd radość i żal zarazem. Patrzymy w dół na Krasnoię, Czarną Riczkę i hen na majaczące na stokach Skupowej – Hołowy. Wsłuchujemy się w odgłosy niespiesznej krzątanimy. Nagle dobiega do naszych uszu głos trembity. Żałosny ale i pogodny zarazem, przykuwający uwagę jak daleki pomruk gromu, powodujący skurcz serca. Dźwięk trwający nie dłużej niż mgnienie oka, a zapadający gęboko w świadomość, poruszający do głębi. Tak płacze trembita tylko nad grobem, tak gra tylko w ostatnią drogę Hucułowi.

dzień 14

28.08.1989

Na biwak rozłożony na skraju niewielkiego zagajnika przychodzą rano krowy, a za nimi stara Hucułka z fajką w ustach. Śmiejąc się do nas pokazuje żółte zęby, dwa ostatnie zresztą. Dzisiaj w Ilci jest odpust czyli chram – “Persza Bohorodyca”. Kiedyś to on był w Słupejce ale teraz tam już nie ma cerkwi, więc niejako zastępczo robiony jest w Ilci. W demokratycznym głosowaniu decydujemy, że nie idziemy na chram, lecz dalej przez Synycie do Krzyworówni. Prawdę mówiąc do dzisiaj nie wiem dlaczego wówczas tak, a nie inaczej zdecydowaliśmy. Zdjęcia zrobione przez naszych kolegów na chramie w Ilci świadczą niezbicie o tym, że zrobiliśmy głupio.

Na Synycie (1166 m) docieramy bez kłopotów, po dwugodzinnym marszu pośród zagród huculskich i krótkim ale stromym podejściu stokiem porośniętym lasem i leszczynowymi zaroślami. Na szczycie poszukiwanie Doboszowych Komór szybko zostaje zarzucone na rzecz malinowej uczyty.

Do Krzyworówni schodzimy przez Himskie. Wysoko na wąskim grzbiecie rozległe polany ze skoszoną trawą i przycupnięte w najmniej spodziewanych miejscach, jakby zawieszane nad płynącym 500 m niżej Czarnym Czeremoszem, archaiczne zagrody. Prowadzą do nich tylko wąskie ścieżynki wspinające się mozolnie stromym zboczem. Wszystko na to wskazuje, że są przez kogoś zamieszkiwane. Nasze domysły potwierdzają się wkrótce. Zbiegając w dolinę spotykamy drapiącego się pod górę staruszka, a po chwili doganiamy ubraną w kolorowy strój huculski, idącą do cerkwi babcię.

Cerkiew w Krzyworówni stoi na swoim miejscu, tyle że szczerlnie pokryta nową blachą. Niestety do środka nie udaje nam się dostać ze względu na brak klucza, ale za to ucinamy sobie ciekawą pogawędkę z mieszkającymi obok cerkwi księżmi. Jeden z nich starszy, chyba na rodzaju emerytury czy raczej dożywocia, pamiętający dobrze czasy przedwojenne stwierdził w pewnej chwili, bez najmniejszego zażenowania, że przed wojną to on był grekokatolikiem, po wojnie zaś kazali mu być prawosławnym, to i jest – przecież to jeden Bóg i jedna wiara. W jego ustach było to takie proste i oczywiste, takie naturalne, że aż mnie zatkało.

Mądrość prostych ludzi potrafi wznieść się ponad każdą, nawet najwymyślniejszą intrygę władzy.

Równie wielką rewelację miał dla nas młodszy ksiądz, będący w Krzyworówni najwyraźniej gościem. Otóż, gdy dowiedział się, że jesteśmy Polakami, pogratulował nam ... nowego i to opozycyjnego premiera! Gdy wyjeżdżaliśmy z Polski Kiszczyk dopiero zaczynał formować gabinet, a tu nowy i w dodatku z "Solidarności"! Kto, skąd, w jaki sposób? Zасыpujemy księdza pytaniami. Niestety, wie tylko tyle, że z "Solidarności", nazwiska nie zapamiętał. Ale! Zaraz, która to godzina? Osiemnasta! Poczekajcie! Ksiądz zniknął w głębi domu i po chwili wybiegł z ogromnym, tranzystorowym radiem. Kilka ruchów potencjometrem i ... słuchamy po rosyjsku wiadomości Radia "Swoboda".

W takich właśnie okolicznościach – będących swoistym znakiem czasów, w których żyjemy – dowiedzieliśmy się, że premierem został Tadeusz Mazowiecki.

Czas pożegnać się z Huculszczyzną. Jeszcze tylko przejazd rozklekotanym autobusem dolinami Waratynu i Rybnicy, pośpieszne zwiedzanie Kosowa i do domu. Mamy nadzieję, że to nie ostatnie nasze spotkanie z tymi wspaniałymi górami, chcemy powrócić tu koniecznie za rok.

Teresa Franiek

Świat opryszków w literaturze polskiego romantyzmu

Jednym z hasła romantyzmu było odwoływanie się do folkloru. Pisarze i poeci czerpali pomysły do swojej twórczości z pieśni ludowych, podań i legend. Powstawały utwory literackie wzorujące się na ustnych przekazach, opiewające bohaterów ludowych, którymi często są “szlachetni” rozbójnicy. Badacze Huculszczyzny starali się rozpoznać zjawisko opryszkostwa. Różne były ich zdania i opinie na temat przyczyn występowania i samej istoty tego zjawiska. Józef Dzierzkowski w szkicu pt. “Opryszki”, uważał, że “Hucul (...) porzuca swą chatę i idzie w góry, by tam sobie wolno żyć i bujać bez żadnej przeszkody”, ponieważ życie jest zbyt “ograniczone zewsząd przepisami”.¹ August Bielowski wschodniokarpackie opryszkostwo uważał za “najdotkliwszą klęskę Pokucia”.² Wincenty Pol nazwał je “wybrykiem społecznym”, którego przyczyną jest ubóstwo oraz niski poziom życia umysłowego i cywilizacyjnego mieszkańców gór.³

¹Józef Dzierzkowski, *Opryszki*, [w:] PRZYJACIEL DOMOWY, Lwów 1861 nr 1, s. 2

²August Bielowski, *Pokucie*, [w:] CZAS. Dodatek Miesięczny, Kraków 1857 t. VI, s. 703

³Wincenty Pol, *Z Niskiego i Szerokiego Beskidu*, [w:] Obrazy z życia i natury, ser. II, [w:] Dzieła (...) wierszem i prozą, Lwów 1876

Wśród ludu tradycja szlchetnego i odważnego zbójnika, pomagającego biednym i będącego surowym sędzią dla złych i bogatych była bardzo żywa. Lud śpiewał pieśni o rycerskich opryskach, które były natchnieniem dla wielu pisarzy i poetów romantyków, były źródłem powstania dzieł literackich.

Za pierwszy utwór w polskim romantyzmie poświęcony tematyce zbójniczej uważany jest wiersz Jana Nepomucena Kamińskiego pt. „Ciągną chmury, a wśród chmur pragnie deszczu kania”. Wiersz Kamińskiego to jak gdyby hymn górali – opryszków. W górach, które są dla nich ojczyzną, czują się prawdziwie wolni.

*W czarnej puszczy naszych gór
Wolna buja łania.
Buja łania, buja koń,
Hej, opryszki, bijmy w dłoń.*⁴

Jest także nawoływanie do pójścia „na zbój”. Gdy tylko rozpoczyna się wiosna, gdy stopnieją śniegi, zbierają się młodzi górale, aby przez całe lato, do następnej zimy uprawiać zbójckie rzemiosło.

*Już rozwinął brodę Stryj
Nabijmy siekierki,
Weźmy w mańkut ważny kij,
Niech sypie iskierki,
Imię nasze ochrzcił strach,
Dadzą grosze pop i Lach.*⁵

„Czarni chłopcy” wiedzą, że za ich zbójckie życie spotka ich kara śmierci. Ale nie boją się jej. Odważnych nie przeraża szubienica:

*Niechaj tchórzów straszy kół,
Straszy szubienica:
Psem opryszek, co by czuł,
Gdzie jaka różnica.*⁶

⁴Eugeniusz Brocki, *Opryszki w Karpatach. Powieść z podań gminnych*, [w:] Haliczanin, Lwów 1830 t. II, s. 81

⁵tamże s.81

⁶tamże s.82

W tej “pieśni opryszków” autor podkreśla takie cechy charakterystyczne dla tych leśnych bohaterów jak: męstwo, umiłowanie życia chociażby krótkiego, ale na wolności i pogarda śmierci.

Pierwszym utworem w literaturze polskiej poświęconym jednemu z najslawniejszych zbójników huculskich Oleksie Doboszowi jest powiastka Eugeniusza Brockiego pt. “Opryszki w Karpatach”. Jej podtytuł brzmi: “Powieść z podań gminnych, zdarzenie około roku 1680”. Czy rzeczywiście postać Dobosza stworzona przez Brockiego podobna jest do watażki huculskiego z pieśni ludowych i podań gminnych?

Według wierzeń ludowych Dobosz przychodzi na świat w niezwyklej okolicznościach. Jedno z podań ruskich głosi, że Dobosz nie urodził się normalnie, lecz został wyjęty z łona martwej kobiety. Dobosz w podaniach ludowych uważany jest za najsilniejszego z wszystkich Huculów.

Jedna z legend, dotycząca źródła jego siły, mówi o tym, jak pewnego razu podczas ulewy Ołeksia idąc ciemnym borem zauważył diabła, umykającego przed gromami ciskanymi przez Boga. Ów “didek” w diablej złości pokazał Stwórcy język. Ołeksia strzelił do diabła i w ten sposób pomścił zniewagę Boga. W nagrodę Anioł obdarował go wielką siłą, pozwalającą mu wyrwać drzewa z korzeniami.

Inna legenda mówi, że w nagrodę za bohaterski czyn zabicia diabła, Oleksie wyrosły trzy złote włosy. Jak długo będzie je posiadał, może czuć się bezpieczny. Zgubiła go kobieta, jego “lubaska” (była nią żona Wasyla Dzwinki z Kosmacza). Po pijanemu wyznał jej tajemnicę swego powodzenia. Gdy zasnął, Dzwinczycha wyrwała mu z głowy złote włosy. Ołeksia stracił swoją mądrość i siłę. Wasyl polecił odlać srebrną kulę, nad którą dwunastu popów odprawiło dwanaście mszy w cerkwi. Od tej kuli zginął Ołeksia.

A oto ocena historycznego Dobosza przedstawiona przez prof. Juliana Celewicza:

Swoją odwagą w napadach, śmiałością w obronie, swoją dzikością i junactwem, które łagodziła wrodzona mu prostota i dobroduszość, pozyskał on sobie szeroką sławę na całą Huculszczyznę. Energiczny,

przedsiębiorczy i rzutki watażka stawał się z jednej strony ulubieńcem podgórskiego ludu, który widział w nim najdzielniejszego z junaków, a z drugiej strony był on postrachem Żydów, kupców i bogatych ekonomów.⁷

Dobosz w pieśniach ludu to śmiały wódz opryszków. Mścił własne krzywdy i krzywdy braci Huculów. Karał złych i nieuczciwych, a opiekował się i pomagał biednym i krzywdzonym. Za to właśnie kochał go lud. Nie znał chwil słabości czy żalu. Nigdy się nie wahał i zawsze był pewny tego co czynił.

Zupełnie odmienny charakter cechuje Dobosza przedstawionego w utworze Brockiego. Jest tu człowiekiem godnym litości i pożałowania. Zostaje zdradzony przez księdza Harasyma, któremu oddawał część zdobywanych łupów w nadziei, że kiedyś będzie mógł poślubić jego córkę Kolmę. Ksiądz Harasym nasyła na niego żołnierzy, a sam zabierając ze sobą Kolmę wyjeżdża. Rozpacz oszukanego opryszka zmienia się we wściekłość. Od tej chwili Dobosz morduje, pali, grabi. Ale nie zapomina o swoim nieszczęściu. Nie odnajduje spokoju. Dręczą go wyrzuty sumienia. Przypominają mu się “popalone wsie, poniszczone dwory, pomordowane ofiary nieubłaganej wściekłości”.⁸ Z bólem wspomina szczęśliwą i czystą młodość, która stała się tak odległa. Ciąży na nim świadomość zmarnowanego życia, świadomość popełnionych przez niego zbrodni.

Ach czem byłem, a czem jestem! Gdzież uszły niewinne lata mojej młodości? Gdziekolwiek spojrzę, wszędzie zniszczenie, którego ja sprawcą – zemstą tylko oddycham, zemstą nieubłaganą ludzie mnie się wyrzekli, przyjaciel zdradził, kochanka opuściła a ja jeszcze żyję, żyję, abym przewodził tej dzikiej tłuszczy...⁹

Watażka wspomina Kolmę, którą wciąż jeszcze kocha, i o której nie może zapomnieć. Autor przedstawia go jako postać melancholijną i sentymentalną.

⁷Julian Celewicz, *O Oleksie Dowboszu, jego poprzednikach i następcach*, Kraków s.10

⁸E. Brocki op.cit. s.79

⁹tamże s. 79

Dobosz ma w swojej drużynie przyjaciela. Jest nim Głuszek. Watażka opowiada mu o sobie. Nie wie, że wybrał sobie za powiernika żołnierza z wojsk Lubomirskiego – pułkownika Przyłuskiego, który został opryszkciem po to, aby poznać ich kryjówki i zdradzić je. Ale nie zrobił tego. Został prawdziwym przyjacielem Dobosza. Przebywając wśród opryszków, odnalazł w nich cechy, które wzbudziły w nim szacunek.

Są to ludzie bezprzykładnej odwagi, dzicz sroga, zuchwała, ale dzielna, każdy z nich byłby bohaterem, gdyby w szlachetnej sprawie walczył. Śmierć nie jest niczem dla nich, gdy nieprzyjaciel ginie z nimi, przekładają nawet śmierć nad gnuśne życie, i wolą raczej twardą murawę niżeli miękkie łóżo nieczynności. (...) giną oni wesóło, bez najmniejszego żalu. Panują i między nimi uczucia, jakieby i nas zdobyć mogły.¹⁰

W 1840 roku w III tomie “Starych gawęd i obrazów” Kazimierza Władysława Wójcickiego zostaje wydana opowieść pod tytułem: “Dobosz. Obraz historyczny z podań i pieśni ludu.” Utwór składa się z dziesięciu rozdziałów, które wiąże postać bohatera. Każdy z tych rozdziałów opowiada o jednym wydarzeniu z życia Dobosza. Watażka posiada pewne cechy opryszkowskiego bohatera pieśni i podań ludowych: jest odważny i śmiały, uważany za niezwyciężonego. Autor opisuje między innymi jak Dobosz z jednym tylko towarzyszem pokonał dwudziestu czterech Ormian. Już samo jego nazwisko zastraszyło ich i bez oporu oddali mu wszystkie pieniądze. Cieszyli się, gdy puścił ich wolno. Dobosz z utworu Wójcickiego bardziej jednak przypomina opryszka z dokumentów historycznych, traktujących go jak pospolitego zbójcę i rabusia, który “miał na sumieniu co najmniej kilka okrutnych mordów popełnionych zwykle dla dokonania zemsty”¹¹ niż Dobosza wyidealizowanego w pieśniach.

Drugi utwór Wójcickiego związany z tematem opryszkowskim to opowiadanie pt. “Hucuły”. Jest ono poświęcone późniejszemu watażce opryszków – Głonce, który był “śmiały i

¹⁰tamże s. 88

¹¹Zdzisław Pisecki, *Byli chłopcy, byli ...*, Kraków 1933 s.75

odważny (...) siły olbrzymiej, łamał szyny żelazne i podkowy, rwał powrozy, a do tej siły łączył odwagę zuchwałą”.¹² Zginął z rąk dwóch młodych hajduków – Iwana i Pyłypa, którzy skuszeni nagrodą obiecaną za zabicie Głonki, postanowili zgładzić nieuchwytnego dotąd wodza opryszków. Miejsce przebywania Głonki zdradził zmuszony do tego jego brat, mieszkający we wsi. Głonka uwierzył Iwanowi i Pyłypowi udającym przyjaciół, którzy chcą przyjąć się do jego bandy. Gdy watażka zasnął, strzelili do niego. Przed śmiercią Głonka rzucił przekleństwo na swoich morderców, które wkrótce się spełniło. Iwan i Pyłyp w niedługim czasie zginęli.

Obok utworów prozatorskich o tematyce opryszkowskiej, powstały również utwory poetyckie. Są nimi: “Dobosz. Pieśń huculska z gór karpackich w okolicy Mikuliczyna” i “Roman. Powieść huculska” – Karola Antoniewicza, “Dobosz” – Augusta Bielowskiego, oraz “Trzy kukułki” – Lucjana Siemieńskiego.

“Dobosz” Antoniewicza rozpoczyna się przybyciem bandy opryszków do domu kochanki Dobosza, żony Stefana Dźwinki. Watażka nie zostaje wpuszczony, więc próbuje wyłamać drzwi. Jednak nie udaje mu się to. Trafia go kula wymierzona przez Stefana Dźwinkę. Śmiertelnie ranny Dobosz domaga się od swoich towarzyszy, aby mu przysięgli, że pomszczą jego śmierć. Chce umrzeć i być pochowanym na połoninach.

Drugi utwór Antoniewicza dotyczy innego już opryszka – Romana. Autor, podobnie jak Dobosza, ukazuje go w ostatnich chwilach jego życia. Roman jest ranny. Wysła jednego ze swoich towarzyszy po matkę, ojca i kochankę, aby przynieśli wody, która ulży mu w cierpieniu. Nie doczekał się jednak pociechy czy współczucia od swoich rodziców. Im chodziło tylko o złoto syna. Czują i bezinteresowną okazała się tylko dziewczyna. Kolejne spotkania umierającego Romana z matką, ojcem i kochanką, przeplatane są śpiewem opryszków. Ich pieśni wyrażają olbrzymią miłość do gór i przekonanie, że należą one do najpiękniejszych części świata.

*Hej kto nie zna naszych gór
Tęskny z życiem wie dzie bój,*

¹²K. W. Wójcicki, *Huculy*, [w:] Stare gawędy i obrazy. Warszawa 1840 t. II, s. 231

*Tam w dolinie pełno chmur,
Tu na górach światła zdroj.¹³*

Zachwyty rzeką Prut i przywiązanie Huculów do niej wyrażone są w następujących strofach pieśni:

*Piękne wody po dolinie
Piękne zdroje w połoninie,
Lecz nad inne milej dzwonią
Prutu fale górską pieśnią,
Gdy nad niemi chmury gonią
Gdy je w brzegach skały ścieśnią.¹⁴*

“Czarni chłopcy” kochali wolność i swobodę, a ich pełnię można było odczuć tylko w górach i na połoninach, tylko tam można było odnaleźć szczęście.

*Tam od wschoda do zachoda
Jak świat wielka wam gospoda,
Jasna wolna i przejrzysta,
Niekiełznany wiatr tam śwista,
Nieścigniony wiatr tam hula:
Ni was szabla, ani kula,
Ani brudna mogił córa,
Nie tknie ziemia, nie tknie chmura.¹⁵*

Najwybitniejszym utworem literackim okresu romantyzmu związanym z opryszkostwem jest niewątpliwie dramat Józefa Korzeniowskiego pt. “Karpaccy górale.” W latach dwudziestych i trzydziestych XIX wieku grupie opryszków huculskich przewodził Antoszek Pankewycz – Rewizorczyk. Przyczyną tego, że został opryskiem, była jego dezercja z wojska. Podobnie i Antoś Rewizorczyk w dramacie Korzeniowskiego został zbójnikiem, ponieważ nie mógł dłużej, z dala od rodzinnych gór nosić białego mundur i karabinu w wojsku austriackim. Tym

¹³Karol Antoniewicz, *Roman. Powieść huculska*, [w:] Różne poezye ... wyd. ks. Jan Badeni, Kraków 1896 s. 149

¹⁴tamże s. 151

¹⁵August Bielowski, *Dobosz*, [w:] Dumki, A. Bielowski i L. Siemieński, Praga 1838 s. 31-32

bardziej, iż wiedział, że niesłusznie je nosi. Był przecież jedy-nakiem i prawo chroniło go przed wojskiem. Prawo tak, ale byli ludzie, którzy zmieniali je w zależności od swoich własnych upodobań. Przedstawiciel władzy – Prokop, który zazdrościł Antosiewi tego, że wszyscy go kochają, że cieszy się sympatią wśród ludu, oczerniając Rewizorczyka, stał się przyczyną jego tragedii. Antoś, aby móc się zemścić, uciekł z wojska. Dezercja to fakt, który łączy go z historycznym Antoskiem Pankewyczem – Rewizorczykiem. Nie zgadzają się jednak ich charaktery. Historyczny Antoszek na końcu swojej opryszkowskiej kariery dopuścił się zdrady swoich towarzyszy. Jego bandę próbował zniszczyć mandatariusz Hrdliczka. Długo mu się to nie udawało. Hrdliczka proponował Rewizorczykowi, aby się poddał, wtedy będzie mu wymierzona łagodniejsza kara. Proponował mu także, aby przystał do jego hajduków. Nie zgadzał się Antoszek na te propozycje mandatariusza, ale w końcu dopuścił się haniebnej zdrady. Wprowadził swoich towarzyszy w zastawioną przez mandatariusza pułapkę. Grupa opryszków została schwytana i uśmiercona. Sam Antoszek opuścił Huculszczyznę i osiadł na Węgrzech.

Niewiele wspólnego posiada bohater “Karpackich górali” z historycznym Antoskiem Rewizorczykiem. Józef Korzeniowski stworzył nowego, własnego bohatera. Zafascynowany Huculszczyzną i jej ludem, a równocześnie współczujący jego trudnemu życiu, wyposażył przedstawiciela tego ludu w najlepsze cechy fizyczne i moralne. Korzeniowski nie potępia opryszkostwa, ale stara się wytłumaczyć jego przyczyny, które tkwią w okrutnym obchodzeniu się z mieszkańcami Gór Pokuckich przez ludzi uważających się za przedstawicieli władzy.

Józef Korzeniowski w dramacie przedstawia szereg epizodów z życia opryszków. Określa miejsce, w którym spędzają noc:

*Miejsce dzikie wśród skał i lasów,
Na ściętym pniu pali się ogień.¹⁶*

O radościach i smutkach opryszkowskiego życia można dowiedzieć się z rozmowy, którą prowadzą “czarni chłopcy”. Jeden z nich mówi:

¹⁶Józef Korzeniowski, *Karpaccy górale*, Wyd. 3 Wrocław 1969 s. 70

*Śnieg biały – i Niemiec biały; ja ich równo nienawidzę
Po śniegu białym Niemiec biały śladem pójdzie
za nami i jak niedźwiedzi nas wytropi.*¹⁷

Inny powiada:

*Dziś z czarką w ręku, jutro obejmiesz ładną Huculkę,
a pojutrze sznurek ciebie obejmie.*¹⁸

I oczywiście o rozkoszy płynącej z niemal absolutnej wolności:

*Tu możesz pozwolić duszy pohulać. Nikt ci tu nie powie to rób, a tego nie rób, to można, a tego nie można,
to sąsiedzkie, a to pańskie.*¹⁹

Charakterystyka życia opryszków zawarta jest także w piosenke “Hej, bracia opryszki”, którą śpiewa jeden z towarzyszy Antosia Rewizorczuka. Porami roku sprzyjającymi zbójowaniu są miesiące wiosenne i letnie. Opryszkowie są bezpieczni i łatwo znajdują schronienie w lasach, gdy na ziemi jest zielono. Najgorsza jest zima. Gospodą dla nich są skały, a dom ich tam “gdzie góry i bory, gdzie jary i jamy”. Nad głową mają tylko niebo pokryte gwiazdami. W pieniądze zaopatrują się grabiąc bogatych podróżnych. Odzież mają z żydowskich sklepów, a żywią się na połoninach. Wiedzą, że za wolne zbójcekie życie czeka ich śmierć. Ale to dopiero na końcu, jeszcze nie teraz. Dziś chcą się cieszyć wolnym życiem. To wezwanie do używania życia, które dla nich nie będzie długie i nawoływanie do radości, wyrażone jest w ostatniej zwrotce:

*Weselmyż się bracia, dopóki możemy!
Niedługo pozwolą nam żyć.
Gdy śniegi nas zdradzą, na sznurku zaśniemy
Ni śpiewać nie będziemy, ni pić.*²⁰

¹⁷tamże s. 72

¹⁸tamże s. 72

¹⁹tamże s. 72

²⁰tamże s. 71

Obok opryszków – bohaterów, którzy nigdy nie popełnili zbędnej grabieży czy morderstwa, są i zwykli rabusie, którzy nadużywają wolności, kierują się samowolą. Uważają oni:

*Tu wszystko moje, co mogę wydrzeć
Mam pełne kieszenie – biorę mało, mam puste –
biorę wszystko i basta.*²¹

Jest to dowód na to, że autor prawdziwie, zgodnie z rzeczywistością, chciał przedstawić zjawisko opryskcostwa. I niewątpliwie cel ten osiągnął. Charakterystyka opryszków ukazanych przez Józefa Korzeniowskiego zgadza się z tą, którą daje prof. Julian Celewicz:

*Byli to opryszki, oczajdusze bez dachu, dla których nie było innego wyjścia, jak szubienica, lub życie dzikie, rozbójnicze, o którym pieśń ludowa mówi: "na kamenny spaty, z torby chlibom żyty, z skały wodu pyty".*²²

Innym utworem z okresu romantyzmu, który zawiera fragment poświęcony opryskcostwu, jest reportaż literacki M. Romanowskiego z wycieczki poety w okolice Czarnohory, zatytułowany: "Kilka dni w górach Pokucia". Romanowski przytacza opowiadanie przewodnika Hucuła o opryszku Kondralczuku, który: "wielkiego doznał nieszczęścia i strasznego dopuścił się grzechu". Opowieści tej wysłuchuje nad jego grobem usypanym z gałęzi. Dowiaduje się, że każdy kto obok niego przechodzi, rzuca suche drwa. Gdy się ich dużo nazbiera – spala się je. Ludzie wierzą, że w tym ogniu oczyszcza się z grzechu nieszczęśliwa dusza Kondralczuka. Hucuł opowiedział następnie historię jego życia. Był on lubianym młodzieńcem. Pokochał dziewczynę, której było na imię Marta. Jednak w czasie jego nieobecności wydano ją za syna kuckiego wójta. Gdy Kondralczuk wrócił, trwało jeszcze wesele. Zdradzony Hucuł wziął w nim udział. Tańczył nawet z Martą. Później opuścił wieś i został opryszkiem. Powrócił, aby zemścić się na niewiernej

²¹tamże s. 73

²²J. Celewicz op.cit. s. 2

dziewczyźnie. Zabił ją, a jej serce spalił, startł na proch i wypił z wódką. Na końcu sam popełnił samobójstwo. Był to przykład tego, jak gwałtownym i niepohamowanym może być zaślepiiony pragnieniem zemsty Hucul.

W 1861 roku w "Przyjacielu Domowym" wydanym we Lwowie opublikowany został artykuł Józefa Dzierzkowskiego pt. "Opryszki". Jego wartość literacka oceniana jest raczej nisko. Bardziej jest on dokumentem historycznym. Składa się z pięciu opowieści, anegdot o huculskich zbójnikach. Jedna z nich to opowieść o niezwyklej miłości herszta opryszków do pięknej, młodej mężatki, kuracjuszki. Watażka ukazany jest jako szlachetny pan gór. Nie jest postrachem, lecz obrońcą i opiekunem kuracjuszy "wód burkuckich". Zapewnia im bezpieczeństwo:

*Przyjechaliście tu w nasze śliczne góry dla zdrowia, jesteście w nich bezpieczni, jakby w własnym domu. Hucule rozumieją grzeczność. Ręczy wam za to Watach Opryszków, i ci moi ludzie, którzy za moim rozkazem pilnować was będą jakby braci naszych.*²³

Gdy nastąpił czas rozstania, watażka wręczył pięknej mężatce bukiet górskich kwiatów. Nie przyniósł on jej jednak szczęścia. Wkrótce owdowiała. Po paru latach ona sama znalazła się na cmentarzu. Przed śmiercią zasuszony bukiet podarowała swojej małej córeczce. Ale i jej nie przyniósł on szczęścia. Umarła w szesnastym roku życia.

Inna anegdota opowiada o kacie Górskim, który wieszał opryszków. Został kiedyś przez nich schwyty. Nie zabili go jednak, gdyż doszli do wniosku, że on tylko wypełnia rozkazy. Po nim będzie ktoś inny, który z pewnością "nie będzie tak lekko i zgrabnie wieszać jak on". Lepiej niech on nadal wypełnia swoją powinność.

Inna opowieść dotyczy pewnego skąpego kupca ormiańskiego. Napadnięty przez zbójników, zniósł okrutne tortury, ale nie zdradził, gdzie ma ukryte pieniądze.

Ostatnie opowiadanie poświęcone jest Czarnemu Iwanowi, którego zabił rodzony brat Semen za to, że spotkał się z jego piękną Małanką. Na motywie tego samego wydarzenia

²³J.Dzierzkowski op. cit. s. 4

J. Dzierzkowski oparł już wcześniej swoją opowieść pt. „Dwaj bliźnięta”.

Szkic Dzierzkowskiego pt. „Opryszki” nie był arcydziełem. Na pewno nie wniósł też wiele nowego do literatury o tematyce opryszkowskiej. Ale jest on jeszcze jednym dowodem na to, że temat ten w okresie romantyzmu cieszył się popularnością. Opryszków już wtedy nie było, ale pamięć o nich była wciąż żywa wśród ludu. Wincenty Pol uważa, że nie można zjawiska opryszkostwa traktować tylko jako historię. Nie zmienił się przecież tak bardzo charakter tego ludu, uważającego go kiedyś, że:

*... każdy Hucuł musi być choć kilka miesięcy lub kilka lat opryskiem, boby go żadna dziewczyna nie kochała i nie miałby poważania we wsi, gdy już jako gazda na ojcowiznie swojej poważnie osiedzie.*²⁴

I nie można zaręczyć za to – pisze gdzie indziej Pol:

*... żeby się bandy opryszków nie powtórzyły jutro – tak żywą jest tradycja rozboju w całym ludzie, że tylko w tych wybrykach społecznych upatruje on dzielność swego rodu!*²⁵

O tym, że rzadko można było spotkać Hucula, który w młodości nie szedłby “w opryszki”, pisze także A. Bielowski. Mówi również o stosunku do opryszkowania współczesnych temu zjawisku Huculów.

*Okazywali oni zawsze szczególnie jakiś pociąg do rozbojów, w których poniekąd nie zbrodnię boskimi i ludzkimi prawami potępioną, ale raczej jakoby rodzaj jakiejś chluby i odznaczania się upatrywali.*²⁶

Inne zdanie na ten temat przedstawia K. W. Wójcicki. Nie tylko, że nie wysuwa on przypuszczenia, aby mogły powrócić czasy opryszków, ale uważa nawet, że być może wiele podań o opryszkach pójdzie w niepamięć i:

²⁴Wincenty Pol, *Z Czarnego Lasu i Czarnej Góry*, [w:] *Obrazy z życia i natury*. ser. II t. II s. 387

²⁵Wincenty Pol, *Z Niskiego i Szerokiego Beskidu*, s. 160

²⁶A. Bielowski op. cit. s. 706

... przebrzmi bez pamięci, a sama nazwa tych synów skał i śniegów, mieszkańców lasów bukowych i ciemnych świerków przepłynie z tej ziemi po falach Prutu i zaledwie może w jakim słowniku zachowana zostanie.²⁷

Jego przewidywania nie spełniły się. Nie uległy zapomnieniu pieśni, podania, opowieści i legendy o "chłopcach zza buka". Do ich popularyzacji przyczyniła się literatura, nie tylko okresu romantyzmu. Także później spotkać można autorów, którzy pisali o opryskach. Wymienić tu należy: Marię Bartusówną, Włodzimierza Zagórskiego, Juliusza Turczyńskiego, Józefa Rogosza, Ernesta Łunińskiego czy wreszcie Stanisława Vincenza.

Powyższy tekst został wygłoszony przez autorkę na jesieni 1988 roku w Krasicy w trakcie Przeglądu Kultury Ziemi Górskich "DRZEWIEJ" organizowanego przez Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich z Katowic.

²⁷K. W. Wójcicki op. cit. s. 242

Henryk Gąsiorowski

Nowe wschodniokarpackie arkusze wojskowej mapy Polski 1:100 000

W XI roczniku Wierchów (z 1933 roku) na stronie 257 Henryk Gąsiorowski zamieścił recenzje wschodniokarpackich arkuszy wojskowej "Mapy Polski" 1:100 000: "Burkut" i "Stanisławów". Poniżej zamieszczamy recenzje arkuszy wydanych w 1933 roku i później, pochodzące bez wątpienia również spod pióra majora Henryka Gąsiorowskiego. Jednak całkowitej pewności mieć nie możemy, ponieważ trafiły do nas w formie niepodpisanych, bardzo kiepskich kopii maszynopisu, opatrzonych niewyraźną pieczętką, na której dało się odcyfrować jedynie słowo Grudziądz. Mimo usilnych starań nie udało nam się ustalić ani skąd się u nas owe kopie wzięły, ani czy były już gdzieś publikowane. Uznaliśmy jednak, że są na tyle ciekawe i pouczające, a jednocześnie pokazujące jak krytycznie i szczegółowo oceniano przed osiemdziesięciu laty niedościgły dla dzisiejszej kartografi, ówczesny wytwór Wojskowego Instytutu Geograficznego, że należy je koniecznie wydobyć z niepamięci i udostępnić współczesnemu czytelnikowi.

Tekst przytaczamy w pisowni oryginału z niewielkimi tylko zmianami.

Redakcja

Ilość ich wzrosła w ostatnich 2 latach tak znacznie, że teren dwu najbardziej turystycznie interesujących działów Beskidów Wschodnich, t.j. Beskid Czarnohorski i Gorgany został już niemal w całości objęty. Nie marzyliśmy nawet, by mogło to stać się w tak krótkim czasie i dlatego cały polski świat turystyczny z PTT na czele żywi dużą wdzięczność dla Wojskowego Instytutu Geograficznego, a w szczególności dla jego byłego szefa Pana

Pułkownika Zieleniewskiego, gdyż jego to zapał i entuzjazm dla wschodniokarpackiej turystyki odegrał w tem niemal epokowym dziele, główną rolę.

Tem samem wysuwany przez nas swego czasu (zob. Wierchy, 1931 s. 205) postulat odnośnie wydania polskich górskich map turystycznych doczekał się najpomyślniejszego zrealizowania w sposób zaoszczędzający PTT płonnych trudów i wydatków na niefortunne próby wydawania takowych map we własnym zakresie działania.

Ogólnie rzecz biorąc, wszystkie omawiane arkusze zostały wykonane techniką najbardziej nowoczesną, w 5 – 6 kolorach z uwzględnieniem całego dorobku turystycznego, a co nas w nim najwięcej obchodzi, znakowanych farbą szlaków turystycznych. Z dużą satysfakcją i tu zaznaczamy, że tem samem doczekał się realizacji i ten nasz postulat, wysunięty we Wierchach w wyżej cytowanym miejscu przy sposobności omawiania pierwszych wschodniokarpackich arkuszy wojskowej mapy Polski.

Oprócz tej, bijącej w oczy nowości zwracamy uwagę na rzecz równie nową, mianowicie na zamieszczanie na szerokim marginesie każdego arkusza zwięzłego lecz niezwykle treściwego klucza znaków konwencjonalnych, a to również zgodnie z naszym postulatem, wyrażonym przy sposobności omawiania map Gea we Wierchach 1928 s. 210. W legendę taką zostały jednak zaopatrzone jedynie arkusze wydane w ostatnim czasie (Nadwórna, Rafajłowa, Porohy i Skole).

Przechodzimy do poszczególnych arkuszków, zaczynając od południowego wschodu:

Arkusze HRYNIAWA (dawny austriacki "Szpiot Kamerale") obejmuje w swej polskiej, zaledwie jednej szóstej części, najdalejszy południowo-wschodni cypel Rzeczypospolitej, obłany zewsząd morzem rumuńskim. Dzięki tej doskonałej pracy polskiej zyskali Rumuni tym arkuszem wzorowo opracowaną mapę tamtejszych swoich okolic. Na podkreślenie zasługuje wierna tubylczej toponomastyce nomenklatura, usuwająca zupełnie błędy mapy austriackiej. Małym błędem, podpadającym tak pod polskie, jak i ruskie ucho, jest nazwa Poticzka na oznaczenie prawobocznego dopływu Probijny, zwanego Poticzok po polsku Potoczek, uchodzącego do niej obok szkoły w Hryniawie. Jakkolwiek objekty topograficzne zostały w zupełnie dostatecznej

mierze wniesione na mapę, to jednak w tym tak odludnym terenie pożądanem byłoby w nowym wydaniu uwzględnić kilkanaście chat sezonowych w Hostowcach, mapa bowiem podaje tam tylko staję pasterskie, a także stale zamieszkane domostwo na Jaworowej za Pniewiem z uwagi choćby na jego najwyższe na ziemiach polskich położenie. Wskazaniem byłoby również oznaczyć na mapie grupę skał zwanych Baba na Palenicy, gdyż są nie tylko obiektem, godnym zwiedzania, lecz stanowią też doskonale ze wszystkich dookolnych wierchów widoczny punkt orientacyjny. Znajduje się ona między słupkiem granicznym 51 a p.w. 1758. Wreszcie pożądanem byłoby umieścić na mapie nazwę "Węgierszczyzna", wymawianą przez tubylców w dokładnym brzmieniu polskim na oznaczenie połoniny na północ od słupka granicznego 52.

Arkusz JASIENIÓW GÓRNY (dawny austriacki "Marenczeni") posiada te same zalety, co arkusz Hryniawa. Uzupełnić go jedynie w przyszłości należałoby wniesieniem nazw: przede wszystkim wielkiej, wpadającej w oko nazwy ŻABIE na oznaczenie właściwego ośrodka tej wielkiej gminy; znaleźć się ona powinna na zachód od nazwy Słupejka tuż przy marginesie arkusza; następnie nazw: Łużki na oznaczenie największego dopływu Rożna Wielkiego, Surdok na oznaczenie przełomu Czarnego Czeremoszu na jego zakręcie poniżej Jasieniowa Górnego, Bukowinka na oznaczenie p.w. 826 na północ od nadleśnictwa Hryniawa, Berdo na oznaczenie p.w. 1071 naprzeciw ujścia Probijny (po rumuńskiej stronie) oraz znaku wskazującego położenie skał na Pisanym Kamieniu punkt trangułacyjny 1222. Dalej należałoby pozmieniać nazwy: Czerwny p.w. 821 na górnym brzegu mapy (południk 24) na Czerłeny, Himskie na Ilemski (błąd mapy austriackiej), Gosemena nad Berwinkową na Gosemen. Budzą też wątpliwości nazwy dopływów Czarnego Czeremoszu w Jasieniowie Górnym, a to: Rosiszny (winno być Suchy) i Wiwysyk (winno być Czornyj). Wreszcie na zachód od Krzyworówni nie Bereźnica wpada do Tarnoczki lecz Tarnoczka do Bereźnicy.

Arkusz MIKULICZYN. Jest to nowe doskonale przerobienie dawnego, powszechnie przez turystów wschodniokarpackich używanego arkusza austriackiej mapy 1:75 000 "Körösmezö und Mikuliczyn". Zdumiewa przy mniejszej podziałce polskiej mapy

nieporównanie większa jej przejrzystość przy nieporównanie też większej ilości nazw i szczegółów topograficznych. Stało się to w dużej mierze dzięki zarzuceniu niepotrzebnego a niesłychanie mozolnego kreskowania. Plastyczność mapy podtrzymano w zupełności dostatecznej mierze przez gęstą sieć warstwic oraz przez utrzymanie ciemniejszego tonu za pomocą farby fioletowej południowo-zachodnich stoków gór, oświetlonych od strony północnego wschodu. W nomenklaturze znikły wszystkie błędy mapy austriackiej, powprowadzano mnóstwo nazw nowych, jak również masę nowych szczegółów topograficznych, oddając wierne obecny obraz terenu. Mapę musi się uznać za aktualną po ostatni moment z całym słowa znaczeniu.

Zrozumiałem też jest, że przy wzorowej dokładności mapy powkładały się pewne błędy i przeoczenia. Przede wszystkim w zakresie szczegółów topograficznych: powszechnie znany wodospad Kapliwiec między Jamną a Mikuliczynem umieszczono u ujścia do Prutu potoku Pysznego zamiast u ujścia potoku Kapliwca 1 km poniżej; razi błędne rozmieszczenie nazw Berezów Średni i Wyżny. Zabudowania Berezowa Średniego trzymają się niemal wyłącznie gościńca Jabłonów – Deletyn, tam też winna być nazwa Średni, a nie w głębi doliny Lungi, gdzie znajduje się duży przysiółek Berezowa Wyźniego, Dilynica, na mapie w ogóle nie nazwany. Nazwać też należałoby znany, drugi przysiółek Berezowa Wyźniego, Łazy, położony wzdłuż drogi z Berezowa Wyźniego do Tekuczy. Nazwa przysiółka Kosmacza, Zawojela, zamieszczona dwukrotnie zbyt drobnym drukiem na peryferjach jego obszaru prowadzi również do dezorientacji. Winna być jednorazowo większym kalibrem druku (co najmniej tej miary, co napis Polanica Czernogowska) rozciągniętą przez całą szerokość doskonale zresztą wrysowanej sieci domostw tego przysiółka w dolinie Stawnika.

Nazwę Kitułowa (winno być Kityłowa) należałoby przenieść na miejsce właściwe, to jest na oznaczenie znanego w turystyce pod tą nazwą punktu wysokościowego 1431. Skreślić też należałoby nazwę Kłynie zamieszczoną niewłaściwie na południowyzachód tego szczytu. Wystarczy nazwa Kłynie zamieszczona w dobrym miejscu pod Hordjem. Brak płaju, prowadzącego z połoniny Łazek północno-wschodnimi stokami Sinieczki w kierunku Gnypiwskiej Klewy mniej więcej wzdłuż warstwicy

1340. Niezgodne z faktycznym stanem jest usytuowanie schroniska PTT w Worochcie. Znajduje się ono bezpośrednio przy dolnym wiadukcie nad Prutem, a nie 3/4 km dalej w dół Prutu. Zamiast napisu "Pod Połomami" na południe od Doboszanki praktyczniej byłoby oznaczyć miejsce samych Połomów, to jest dać napis "Połomy" przy polanie między punktami wysokościowymi 1306 i 1257 m. Przy płaju z Kosmacza do Zawojeli brak oznaczenia skał, znajdujących się powyżej szkoły.

W nomenklaturze razi nazwa Jasina na oznaczenie wielkiej wsi czechosłowackiej z drugiej strony przełęczy Jabłonickiej. Jeśli wychodzi się z założenia uwzględniania na mapie urzędowych nazw miejscowości, to podawanie ich winno mieć miejsce w zupełnie dokładnym ich brzmieniu. W tym wypadku należało dać daszek nad n, albo przytoczyć to brzmienie polskimi literami, więc w takim wypadku Jasinia. Nie szkodziłoby jednak wcale bodaj nawiasowe dodanie właściwej tubylczej nazwy "Jasinie". Poza to: przysiółek Jamny nie Bahrowne lecz Bahrowiec, potoki w Kosmaczu nie Kosmacz lecz Kosmaczil, nie Bahnec lecz Banienska, Wierch nad Palenicą Czemegowską nie Pryhodiszcze lecz Pryhodyszcze, nie Pyrczuł koło Munczela w paśmie Hordyjskim lecz Pryczól.

Zalecałoby się wreszcie wnieść nazwę Ilkowska na oznaczenie p.w. 1027 m między Mikuliczynem a Leśniowem, nazwę Winešenj dla p.w. 1256 m między Kunikływą a Czarnym Poharem w paśmie Leśniowa wreszcie nazwę Kiczerewa nad potok między Pistynką, a Stawnikiem w Kosmaczu.

Arkusze ŻABIE (dawny austriacki "Bogdán"). Wskazaniem byłoby powprowadzać następujące uzupełnienia i zmiany: Na północ od Żabiego pominięty został dominujący w tamtejszym terenie szczyt "Kamienisty" p.w. 1372 m austriackiej mapy 1:75 000. Znak "Ś1" przy zbiorniku wody na potoku Wołowym, dopływie górnej Ilci, zamienić na napis Klauza Wołowy; taki sam znak w Krzywopolu zamienić na napis "Klauza Krzywopole" z oznaczeniem zbiornika.

Na dziale wód Prutu i Czeremoszu, między Kostrzycą a Maryszem brak oznaczenia ważniejszych wierzchów: Młaki, najbliższe wzniesienie na wschód od Marysza (na przejeździe z Worochty do Bystrzca), następnie Psiarówka p.w. 1362 m, wreszcie Siła Mikulicyńska p.w. 1452 m dawnej mapy austriackiej. Na

Czeremoszu brak kładek w Dzembroni, Zielonem i Jaworniku. W tym ostatnim brak też płaju, wiodącego przez "Katynowaty" (ma być Kałynowaty) na szczyt Ludowca.

Nazwa Zaroślak położona w niewłaściwym miejscu, winna być tuż na prawo od napisu Howerla. Na granicznym grzbiecie Karpat, między Kukulem a Koźmieską brak przy p.w. 1326 m nazwy Beskidja, zaś p.w. 1295 m zwie się nie Krywe Hedje lecz Krywa Hega. W paśmie Białej Kobyły p.w. 1301 m zwie się nie Żołnierski lecz Wesnar; jedynie płaj, prowadzący nań z doliny Kiziej zwie się Żołnierskim; tem samem musi odpaść napis Żołnierski również na drugim potoku źródłowym Kiziej. W Żabiem wzduż prawego brzegu Czeremoszu nienazwany znaczniejszy przysiółek Żabiego, Bahna. Nie ma również napisu Krasny Łuh na oznaczenie grzbietu między Kraśnikiem a Ilcią.

Na głównym grzbiecie Czarnohory budzi wątpliwość potok Arendarz, zwie się on Pożyżewski, następnie nie Dancerz, a Dancysz, w ślad za czem źródłowy potok Prutu nie Danceczyk, lecz Dancyszyk, a w nawiasie turkulec, bo i taka nazwa jest używana; brak nazwy potoku Homulca; na kozłach i wschodnich stokach Szpyc brak sygnatury na oznaczenie słynnych skał (Szpyciowe "Kamienni Tyatry"). Źródłowy potok Bystrzca zwie się nie Mreje, lecz Gadżyna; nazwa Mreje odnosi się do najbliższego na wschodzie jej dopływu. Nie Pohoriłka, lecz Poharówka względnie Pohariwka, nie Rozszybenyk, lecz Roszybenyk. Napis Wichid na zachód od Waskula niepotrzebny, wystarczy napis Wychid (nie Wichid) we właściwym miejscu p.w. 1474 m. Połonina i potok Redul pod Waskulem nie istnieją (błąd mapy austriackiej), jedno i drugie znajduje się dalej na południu bliżej Stogu na arkuszu Burkut. Poliwny, a nie Poliwne.

W południowo-wschodniej części arkusza razi szereg niepotrzebnych napisów, oznaczających nie nazwy, lecz słowa pospolite, jak Obgodze (huculska nazwa bruśnic czyli borówek, jak je w niektórych okolicach Polski zowią), "Zła doroha" – zła droga (odnosi się to do doliny Pohorylca, którą nie wiedzie w ogóle żadna droga), "Na tartaku", "Urwana", "Kotlina", "W Łuhu"?, "U Żyda". Napisy te wkradły się zapewne wskutek nieporozumienia między topografem, a jego informatorami. Stąd konieczna potrzeba władania językiem tubylców przez topogra-

fa. Usunąć też należałoby nazwy Pod Smotrecem (raczej pod Smotrcem) umieszczoną pod Skoruszynym i Szurymska (raczej Szuryńska) na stokach Stajek.

W części czechosłowackiej uderza nierównomierność w operowaniu nową czeską nomenklaturą. Z jednej strony precyzja w jej stosowaniu, jak np. Lemsy, Mlaky, Borkutovej Prelug, Vascul, Medveženka, Balcatul z drugiej zaś strony nową urzędową nazwę Bila Tisa umieszcza się zaledwie widocznym druczkiem nawiasowo pod znaczących rozmiarów dawną węgierską Bohdan (winno chyba być Bogdán, bo to jest jej właściwe węgierskie brzmienie).

Józef Mączka

Droga Legionów

O drogo nasza! O “drogo Legionów”
przez krwawe tęsknot rzucona bezdroże!
Wężem idąca wśród śmierci zagonów
w one dalekie za górami zorze,
gdy krzyk się z piersi wyrывał jedyny:
“Do polskiej ziemi! Do polskiej krainy!”

(...)

Ponad przepastne wieszając się jary
szliśmy drzew zwartych nieprzebytą gęstwą ...
Znał trudy nasze odwieczny las stary,
i naszych siekier niestrudzone męstwo –
Ławą się drzewa waliły i kłody
pod juczne mnogich taborów pochody!

Bies tam nad nami w czarne huczał noce,
burzą nawałnic idący nam w tropy ...
Pracę rąk wielu łamały złe moce,
mosty jesienne zrywały roztopy, –
woda sosnowych pniów zmywała dyle,
mierzwiła ruszty, jak zeschłe badyle ...

Co dnia tam końskie mnożyły się padła,
 rychło szkieletem żółtawym świecące –
 Nad niemi kruków upiorne wahadła
 czarnymi skrzydły w powietrzu drgające,
 lub ówdzie – wozów połamane gnaty –
 znaczyły drogę – tej polskiej krucyaty ...

(...)

Jako lawina – co śniegu kruszyną
 z gór lecąc, rośnie w żywiołu potęgę, –
 tak pułki nasze ze szczytów w dół spłyną
 z pieśnią na ustach – na onych pól wstęgę –
 rosnąc w zapału lot i w ducha moce, –
 ów pęd – co wszelkie zapory druzgoce! ...

(...)

O góro, góro – ileż jeszcze razy
 mieliśmy ciebie przemierzyć krokami!
 Gdy zmienne losów wojennych rozkazy
 zawieją gromów huczały nad nami –
 gdy na wstecz były pochody zwrócone,
 a serca – w tamtą zakłętę wciąż stronę!

(...)

... Zima nadeszła – i śnieżne zawieje
 wieszały białe po stokach całuny ...
 Od sinych Karpat wiatr mroźny powieje,
 i w drzew napięte uderza wciąż struny –
 Las się nam kłania wierzchami białemi
 i puchy miękkie rozściela po ziemi ...

(...)

Na szczycie góry Krzyż stoi wyniosły –
 Golgoty naszej korona cierniowa ...
 Ręce żołnierzy nabożnie go wzniosły ...
 bagnetem ryte wyczytasz tam słowa:
 ... “szliśmy przez góry, przez rzeki i wały
 do Ciebie Polsko i dla Twojej chwały!”

I jest symbolem ten Krzyż – Świętej Sprawy,
co weszła z nami w te góry i lasy –
szczytowym znakiem wielkiej Czynów nawy,
czynów, – co ponad przestrzenie i czasy,
przez sine morza – i przez Alp krawędzie
żywiły Polskę – i niosły ją wszędzie! ...

(...)

Pamiętam jedną noc ... Spiesząc z rozkazem,
wstrzymałem konia na chwilę przy szczycie ...
(Wytchnienia szukał człowiek i koń razem –)
Na wyiskrzonym gwiazdami błękitcie
księżyc tam wstawał z za gór – ognia łuną, –
i rozplómił białe śniegów runo! ...

I Pantyr stanął dumny w swojej krasie! ...
las go ramiony tęsknymi ogarnie ...
widmowe blaski drzewa brały na się,
dalekich szczytów spłonęły latarnie,
a nad ich zrębów koronkę iglastą
w snach się jakoweś czarowało – Miasto!
(...)

Piotrków 21.05.1916 r.

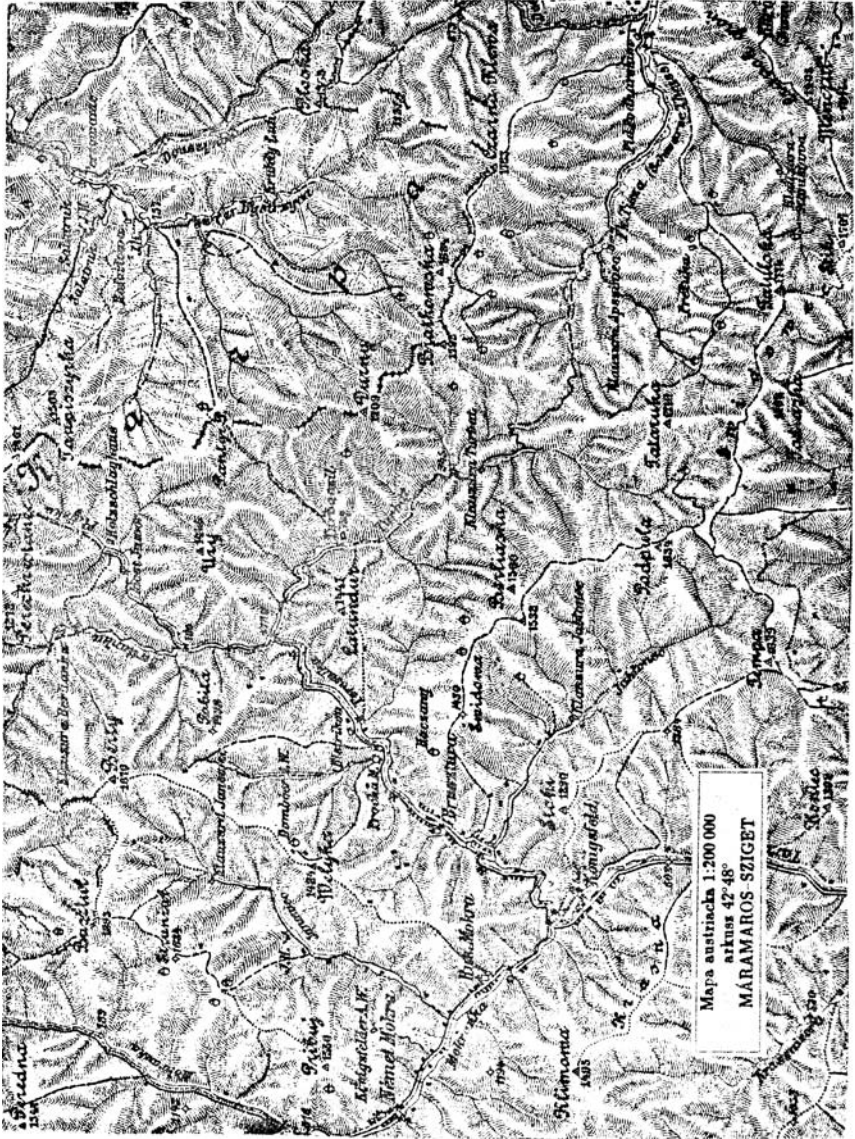
Józef Mączka, *Starym szlakiem*, Kraków 1917

Andrzej Wielocha

Przełęcz Legionów, Pantyrpass czy Rogodze Wielkie?

Jak to właściwie jest z tą Przełęczą Legionów, a ściślej mówiąc jak to z nią było? Dzisiaj wprawdzie nikt nie ma wątpliwości ani co do nazwy ani co do lokalizacji. Nawet na niektórych mapach radzieckich można spotkać nazwę ”Pierewał Legionow“. Widnieje ona w tej wersji także na drogowkach stojących w dolinie Płajskiej. Ale wystarczy zajrzeć do literatury tak międzywojennej jak i współczesnej aby przekonać się, że nie jest to takie proste ani oczywiste. Czy więc powszechnie występujący we wspomnieniach z walk II Brygady Legionów - Pantyrpass to dzisiejsza Przełęcz Legionów? Czy Pantyrpass i Przełęcz Pantyrska to to samo i jak się do tego wszystkiego mają Rogodze Wielkie?

Żeby rozwikłać tę zagadkę trzeba sięgnąć do źródeł. Zacznijmy od map. Jeżeli spojrzymy na austriacką mapę w skali 1:200 000 (str.105) to na grzbiecie głównym Karpat pomiędzy Taupiszyrką 1503 m a Durnym (właściwie powinno być Durnią) 1709 m znajdziemy tylko jedną nazwę: Pantyr P. [w domyśle Pass] umieszczoną w miejscu gdzie od grzbietu głównego odbiega boczny grzbiet oddziałający dolinę Rafajłowca od doliny Durnińca. Miejsce to bez trudu identyfikujemy jako Pantyr 1225 m. W tym też miejscu przebiega przez grzbiet droga z Turbaczila do Rafajłowej. Warto zwrócić uwagę, że według



tej mapy jest to jedyny szlak komunikacyjny umożliwiającą przejście grzbietu pomiędzy Taupiszyrką a Bratkowską.

Popatrzmy teraz dla odmiany na austriacką mapę szczegółową w skali 1:75 000 (str. 107). Tu już nazwa występuje w pełnym brzmieniu: Pantyr Pass, ale umieszczona jest pośrodku między kotłą 1225 oznaczającą Pantyr a kotłą 1065 oznaczającą największe w tym rejonie obniżenie grzbietu granicznego, głęboką przełęcz między Pantyrem a Durnią. Czego więc nazwa Pantyr Pass dotyczy - szczytu czy przełęczy?

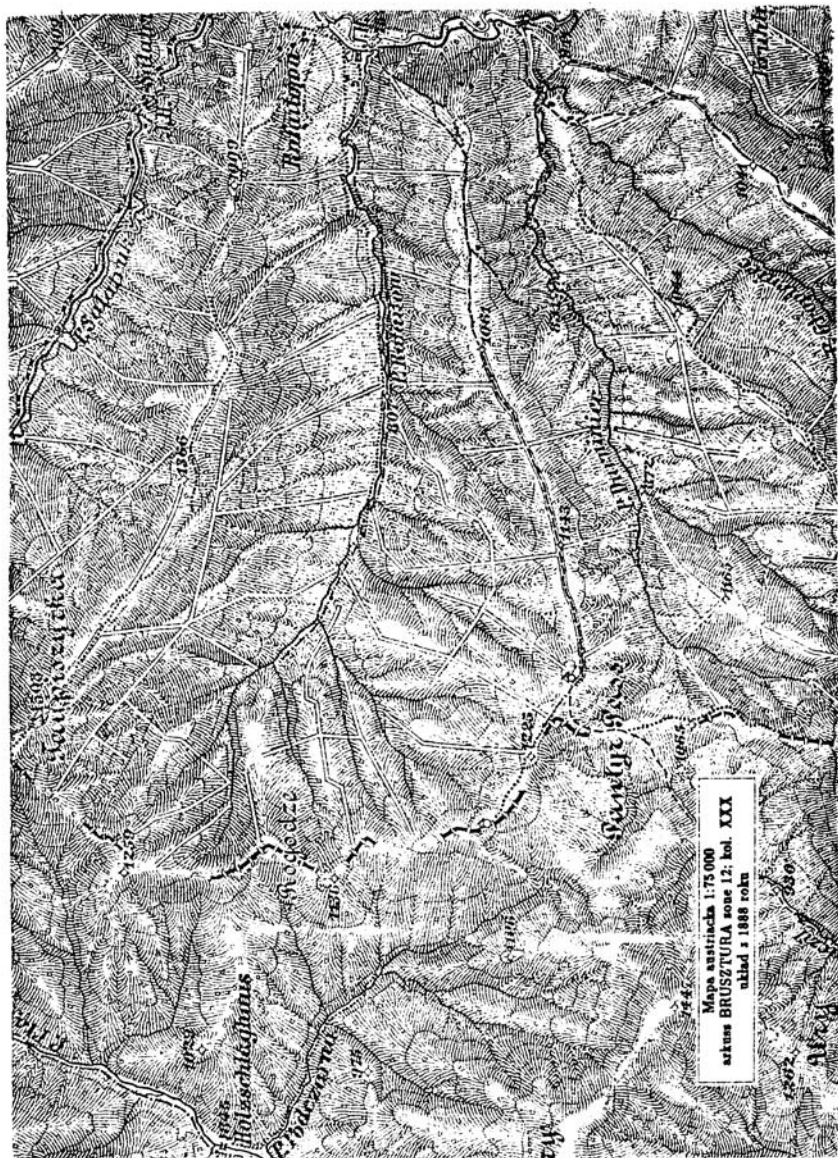
Przyjęte jest dość powszechnie tłumaczenie niemieckiego Pass polskim słowem przełęcz. Czy w takim razie Pantyr Pass to przełęcz między Pantyrem a Durnią? Dla pewności zajrzyjmy do słownika. Współczesne słowniki niemiecko-polskie najczęściej tłumaczą Pass jako przełęcz, rzadziej jako przejście, ale w słowniku z początku naszego wieku znalazłem tłumaczenie bardzo ładne i jednocześnie zastanawiające – przechód. A przechód to przecież niekoniecznie przełęcz.

Popatrzmy jeszcze raz na mapę szczegółową. Dokładnie w miejscu napisu, pomiędzy dwoma członami nazwy, przewija się przez grzbiet wspomniana już wcześniej droga a ściślej mówiąc płaj z doliny Turbaczila do Rafajłowej. Może więc nazwa Pantyr Pass, znacząca tyle co Pantyrski Przechód nie dotyczy przełęczy ani tym bardziej szczytu a po prostu miejsce, w którym istnieje wygodne przejście przez grzbiet? Byłby to więc termin nie tyle topograficzny co raczej komunikacyjny.

Przyjęcie takiego rozwiązania wiele spraw wyjaśnia nie tłumaczy jednak skąd tak powszechne utożsamianie Pantyrpassu z Przełęczą Legionów. Literatura przedmiotu nie daje niestety odpowiedzi na to pytanie. Jak już powiedzieliśmy tak w opracowaniach starszych jak i najnowszych istnieje w tej kwestji "pełne matreii pomieszanie". Bertold Merwin w "Legionach w Boju" pisze:

*... Na szczycie przełęczy Pantyrskiej, którą odtąd podręczniki historii zwać będą "Drogą Legionów" ...*¹

¹Dr. Bertold Merwin, *Legiony w Boju 1914. II Brygada w Karpatach*, t.I, Kraków 1935 s. 40



Mapa antrická i 75 000
 arkus BRUCEZTURA sons 12; kol. XXX
 uhlad : 1888 rok

Zaś autorzy specjalnego wydania "Przekroju" z listopada 1988 r., opatrzonego podtytułem "Epopeja bitew polskich 1914-18" w kilku miejscach piszą po prostu: *przełącz Pantyr*.² We wznowionym niedawno "Dzienniku z kampanii rosyjskiej" August Krasicki pisze natomiast tak:

*... Mijamy szereg fur z żywnością i jucznych koni z amunicją. Wyjeżdżamy na szczyt góry 1461 m npm [sic!] jest tu granica między Węgarami a Galicją, wjeżdżam więc na ziemię polską! Na szczycie jest połonina, na której wznosi się wysoki krzyż postawiony przez legionistów ...*³

Pan hrabia nie nazywa owej "góry" czy połoniny z krzyżem, której wysokość zdecydowanie przecenił (jak łatwo zauważyć na mapie wysokość 1461 m odnosi się do jednego z wierzchołków Taupiszyrki), nie ma jednak wątpliwości, że pisze o Przełęczy Legionów. Natomiast w innym miejscu "Dziennika" znajdujemy coś ciekawego:

*... Po południu miałem polecenie zbadać stan drogi bocznej do Pantyr-Passu, pojechałem ...*⁴

I dalej:

*... Po południu pojechałem konno z chorążymi Durskim i Lepkowskim w kierunku Pantyr-Passu ...*⁵

Widać z tego wyraźnie, że dla Krasickiego Pantyr Pass i Przełącz Legionów to dwa różne miejsca. Dlaczego więc jedni uczestnicy walk z jesieni 1914 rozróżniają te nazwy inni zaś je utożsamiają? Może jakieś światło na ten problem rzuci Henryk Gąsiorowski największy autorytet w sprawach wschodniokarpackiego nazewnictwa. W swoim przewodniku pisze on tak:

²Przekrój. Numer specjalny, 11.11.1988, s.15-16

³August Krasicki, *Dziennik z kampanii rosyjskiej 1914 - 1916*, Warszawa 1988, s. 120

⁴tamże s. 123

⁵tamże s. 130



Mapa WIG 1:100 000
aktus RAJAŁOWA pas 58. strp 38
Warszawa 1935

... Utarte identyfikowanie miejsca na głównym grzbiecie Karpat, które droga ta [legionów - przyp. autora] przecięła, mającego odwieczną nazwę tubylczą "Rogodze" (także "Rogozy"), z "przełęczą Pantyrską" polega na niedokładności mapy szczegółowej 1:75 000, która w ówczesnych wydaniach nie uwzględniała ani nazwy Rogodze ani płaju przez nie prowadzącego...⁶

Zajrzyjmy ponownie do mapy na stronie 107. Zobaczymy tam na północ od punktu wysokościowego 1136 m, prawie dokładnie w tym miejscu gdzie dziś stoi krzyż na Przełęczy Legionów, napis Rogodze. Mapa pochodzi z całą pewnością sprzed I wojny światowej. Tak więc pan major Gąsiorowski tylko częściowo ma rację. W tym mianowicie, że na austriackiej mapie przez Rogodze nie prowadzi żadna droga.

Mając zebrane te wszystkie informacje możemy się pokusić o odtworzenie biegu wydarzeń i rozwiązanie zagadki. Sztab austriacki planując przełamanie frontu ustalonego na głównym grzbiecie Karpat miał do dyspozycji tylko takie mapy jak te, które tu zamieszczamy. Na podstawie ich analizy zdecydował o ataku i przerzuceniu oddziałów przez Pantyr Pass. W trakcie rozpoznania terenu okazało się, że oprócz Pantyr Passu, czyli płaju przechodzącego przez główny grzbiet w rejonie szczytu Pantyr, istnieje nie zaznaczony na mapach, łatwiej dostępny i o ponad 100 m niższy, płaj prowadzący przez Rogodze. Na jego bazie wybudowano więc drogę zwaną później "Drogą Legionów" i przez Rogodze a nie przez Pantyr Pass ruszyły oddziały do Rafajłowej. Myślę, że decyzja o tej zmianie zapadła na niższych szczeblach dowodzenia, a "góra" siłą bezwładności nadal używała w rozkazach nazwy Pantyr Pass. W warunkach wojennych było to łatwiejsze niż zmienianie map.

Reasumując, sądzę że z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć wersję następującą: Pantyr Pass to płaj biegnący przez grzbiet pod Pantyrem. Przełęcz Pantyrska to nazwa pusta będąca wynikiem nieporozumienia, a przełęcz 1065 m na południe od Pantyry, do której możnaby ją ewentualnie odnieść jako

⁶Henryk Gąsiorowski, *Przewodnik po Beskidach Wschodnich*, t. I, cz. 2, *Gorgany*, s. 195



**Stłupki graniczne na
Popadi (←)
i na Pantyrze (↑)
Fot. Maciej Wiśniewski
(1988 r.)
Fot. Jan J. Swianiewicz
(1980 r.)**



Pod rynnami na Pop Iwanie. Stoją od lewej: M. Birski, P. Janko,
J. Wróblewski, P. Lubowski, A. Wielecha, I. Charysz, A. Kulewski
(siedzi), R. Werdon, P. Michnoi, Z. Rykiert. Fot. samowyzwalacz
(1989 r.)

całkowicie niedostępna, własnej nazwy nie posiadała. Pierwotna nazwa Przełęcz Legionów brzmiała Rogodze, czy jak to podaje mapa WIG 1:100 000 (str. 109) Rogodze Wielkie i tylko tej nazwy należałoby używać chcąc pozostać w zgodzie z prawdą.

* * *

TOWARZYSTWO KARPACKIE

Z prawdziwą radością pragniemy zawiadomić naszych Czytelników o zarejestrowaniu przez Sąd Wojewódzki w Warszawie w dniu 10 maja 1990 roku Towarzystwa Karpackiego.

Zapraszamy do współpracy tych wszystkich, którzy swoje karpackie zainteresowania traktują poważnie i chcą je w sposób twórczy w gronie życzliwych osób uprawiać. Tych, którzy czują się w jakimś stopniu badaczami, a nie konsumentami. Nie znaczy to oczywiście, że chcemy zrzeszać samych naukowców. Ogarnięci karpacką pasją amatorzy są równie mile widziani.

Założyliśmy Towarzystwo po to by się wzajemnie inspirować i pomagać sobie w karpackich działaniach. Wymieniać doświadczenia, informować o wynikach badań i obserwacji, wreszcie dyskutować, wyjaśniać wątpliwości a nawet kłócić się (byle twórczo). Ułatwiać kontakty ludziom o podobnych zainteresowaniach, tworzenie się grup i zespołów wspólnie podejmujących konkretne działania.

Traktując Karpaty jako pewien fenomen kulturowo–historyczny, jako swoisty rdzeń Europy Środkowej chcemy wspólnie go poznawać, działać na rzecz zachowania całej jego złożoności i bogactwa przyrodniczego oraz kulturowo–historycznego.

Chcielibyśmy, żeby nasze Towarzystwo stało się rodzajem forum rzeczowej dyskusji i wymiany poglądów, zderzeń punktów widzenia, wyjaśniania nieporozumień i wymiany wyników badań. Forum na którym mogliby się spotykać i wspólnie działać ludzie o różnych poglądach, przedstawiciele różnych narodowości, oby-

watele różnych państw, wszyscy dla których Karpaty są przedmiotem badań czy zainteresowań.

Poniżej zamieszczamy fragment naszego Statutu określający program Towarzystwa.

Redakcja

CELE I FORMY DZIAŁANIA

(wyciąg ze Statutu)

1. Towarzystwo zrzesza miłośników Karpat, niezależnie od ich narodowości, obywatelstwa i miejsca zamieszkania, dla których przyroda, kultura i historia Karpat są przedmiotem szczególnego zainteresowania oraz działalności poznawczej, badawczej, artystycznej, kulturalnej i społecznej.
2. Towarzystwo opiera swoją działalność na społecznej pracy swoich członków.
3. Celem Towarzystwa jest:
 - (a) wspólne uprawianie karpaccich zainteresowań jego członków;
 - (b) prowadzenie, inspirowanie i wspieranie studiów oraz badań naukowych a także publikowanie i popularyzowanie ich wyników;
 - (c) podejmowanie działań na rzecz ochrony środowiska naturalnego i kulturowego Karpat;
 - (d) popularyzowanie wiedzy o Karpatach pojmowanych jako fenomen kulturowo–historyczny;
 - (e) popieranie działań na rzecz zachowania tożsamości poszczególnych grup etnograficznych i etnicznych zamieszkujących Karpaty;
 - (f) przełamywanie uprzedzeń narodowościowych poprzez badanie i popularyzowanie wkładu poszczególnych grup etnograficznych i narodowości w kształtowanie obrazu kulturowo–historycznego Karpat;
4. Towarzystwo realizuje swoje cele poprzez:
 - (a) działalność naukowo–badawczą;
 - (b) organizowanie cyklicznych, otwartych spotkań Towarzystwa poświęconych prezentowaniu efektów jego działalności;

- (c) organizowanie sesji naukowych, wykładów i prelekcji informujących o aktualnym stanie badań i popularyzujących wiedzę o Karpatach;
- (d) organizowanie wystaw poświęconych tematyce karpackiej;
- (e) prowadzenie działalności wydawniczej;
- (f) organizowanie wycieczek i inne formy działalności turystyczno–krajoznawczej na terenie Karpat;
- (g) utrzymywanie stałych kontaktów z ośrodkami naukowymi, muzealnymi, towarzystwami regionalnymi i turystyczno–krajoznawczymi podejmującymi tematykę karpacką w kraju i za granicą;
- (h) występowanie do władz państwowych i regionalnych z wnioskami i opiniami w sprawach dotyczących Karpat;
- (i) gromadzenie i opracowywanie materiałów oraz dokumentów dotyczących Karpat;
- (j) wspomaganie i popularyzowanie działań kultywujących folklor i rękodzieło ludowe, w tym muzeów, izb folklorystycznych i festiwali, a także ochronę zabytków sztuki karpackiej;
- (k) wspomaganie i popularyzowanie idei ochrony przyrody, tworzenia rezerwatów przyrodniczych i Parków Narodowych;

SPIS TREŚCI

- **Władysław Midowicz,**
Saga Czarnohory 3
- **Kazimierz Hempel,**
Przez Bałtagu na Hnatasię 9
- **Agnieszka i Jerzy Montusiewiczowie,**
Z wędrówki po Beskidach Wschodnich 40
- **Andrzej Wielocha,**
Sprawozdanie z wycieczki w Gorgany i Czarnohorę
odbytej w sierpniu 1989 roku 54
- **Teresa Franiek,**
Świat opryszków w literaturze
polskiego romantyzmu 81
- **Henryk Gąsiorowski,**
Nowe wschodniokarpackie arkusze wojskowej
mapy Polski 1:100 000 94
- **Józef Mączka,**
Droga Legionów 101
- **Andrzej Wielocha,**
Przełęcz Legionów, Pantyrpass
czy Rogodze Wielkie? 104
- **Towarzystwo Karpackie** 112

CZYTAJCIE KSIĄŻKI wydawane przez Komisję Wydawniczą SKPB i TOWARZYSTWO KARPACKIE

W chwili oddawania do druku niniejszego wydawnictwa w sprzedaży znajdowały się jeszcze następujące tytuły:

121. ¹ **Połoniny '85** pod red. Andrzeja Wielochy.
135. **Płaj II** pod red. Andrzeja Wielochy.
141. **Materiały z sesji krajoznawczej "Cmentarze z I wojny światowej na Podkarpaciu". Wysowa 23-25 października 1987** pod red. Bogdana Mościckiego i Lucji Wierzyckiej.
142. **Magury '89** pod red. Piotra Szczerbiaka.
143. Roman Frodyma, **Cmentarze z okresu I wojny światowej w rejonie Beskidu Niskiego i Pogórza**, wyd. II poprawione i uzupełnione.
144. **Połoniny '89** pod red. Jana Jacka Swianiewicza.
145. Władysław Midowicz **Życie i sny Tymoteusza Średniaka**.
146. Andrzej Potocki **Niżej połonin**.

W najbliższym czasie ukażą się:

148. **Płaj 4. Gorgany** pod red. Adama Kulewskiego.
149. **Magury '90** pod red. Tomasza Szatravskiego.

* * *

Nasze publikacje sprzedają między innymi:

- Księgarnia pod Wierchami w Krakowie, Pl. Wiosny Ludów 8
- Księgarnia Turystyczna OU PTTK w Gliwicach, ul. Arkońska 8.
- Księgarnia w Hotelu Saskim w Warszawie, Pl. Bankowy 1.

Sprzedaż wysyłkową pojedynczych egzemplarzy prowadzi Centralna Turystyczna Księgarnia Wysyłkowa PTTK. Oddział Akademicki PTTK, ul. Westerplatte 5, 31-033 Kraków.

Hurtową² sprzedaż prowadzi wydawca.

¹Numer kolejny wydawnictwa w bibliografii wydawnictw SKPB Warszawa
²za "hurtowe" traktujemy zamówienie przynajmniej 20 egz. jednego tytułu



ISBN 83-85141-03-0

Wyszków ok 42 km DOLINA 23° 50' 41 km Perehińsko 24° 20' 26 km 21 km STANISŁAWÓW (WANOFRANKOWSK) 24 km

GORGANY (część południowa)
SWIDOWIEC, CZARNOHORA
Skala 1:300 000
0 3 6 9 12 15 18 km
Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich
Warszawa 1989
Opracował i rysował ©PKAMINSKI - kartograf.
Linie oznaczają ramki dawnych map 1:100 tys. i 1:75 tys.



OBJAŚNIENIE ZNAKÓW

- Granica państwa
- Główny grzbiet Karpat
- Linia kolejowa, stacja i tunel
- Linia wąskotorowa
- szosy i drogi
- Drożka, ścieżka
- Grzbiet górski
- potoki i rzeki
- szczyty, wysokości w m.n.p.m.

WYBRANE SZCZEGÓŁY:

- przyst. autobusowy
- schronisko („pryjut“)
- Kł. Kłauza lub
- leśniczówka, gajówka
- miejsce po niej
- tur baza

MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE:

1. Mapy 1:300 000 (WIG i Osteuropa)
2. Mapy 1:100 000 WIG (Warszawa 1925-1937)
3. Mapy 1:75 000 austriackie (1918)
4. H. GĄSIOROWSKI „Przewodnik po Karpatach Wschodnich”
5. Ukrainskie Karpaty - atlas turysta - Moskwa 1987.

24 km HUST 7 km Sygiel Marmaroski ok 30 km 24° 20' 7 km Burkut 24° 50'

Suplement po latach
czyli ilustracje do
*Sprawozdania z wycieczki w Gorgany
i Czarnohorę odbytej w sierpniu 1989 r.*



Uczestnicy wycieczki,
od lewej: Roman Werdon, Andrzej Wielocha, Józef Wróblewski, Paweł Luboński,
Juliusz Marszałek, Piotr Janko, Irena Charysz, Adam Kulewski, Mariusz Birski



Doboszanka, fot. A. Wielocha



Doboszanka, fot. A. Wielocha



Doboszanka, fot. A. Wielocha



Doboszanka, fot. A. Wielocha



Doboszanka, fot. A. Wielocha



Doboszanka, fot. A. Wielocha



Bacówki na Dolhej, *fol. A. Wielocha*



Pid Poharskim, *fol. A. Wielocha*



Worynia w przysiółku Krywopola pod Kostrzycą, *fol. A. Wielocha*



Zachód słońca nad Howerlą z Kostrzycy, *fol. A. Wielocha*



Panorama z Czarnohory z Kryntej, *fol. A. Wielocha*